AS



Nr. 30 24 LIPCA 1938 ROKU CENA 40 GROSZY

SYRENY PLAŻOWE WYRUSZAJA NA MORZE

Samolotem nad Wybrzeżem

MIECZYSŁAW ZYDLER



Startujemy z lotniska w Rumji do lotu nad Wybrzeżem. Jest 15 czerwca, godzina południowa. Pogoda — jak złoto... Lekki wiatr północno-zachodni, przejrzystość powietrza wprost niebywała. Widać wyraźnie kiosk okrętu podwodnego, manewrującego opodal portu Helu, a więc w odległości trzydziestukilku km od nas. Dobiegają nas stamtąd migotliwe, ułamek sekundy trwające błyski. Wygląda to na sygnalizację optyczną, ale jest tylko refleksem słońca w mosiężnych czcionkach, które składają się na nazwę okrętu. Nad nami przeźroczysta kopuła bezchmurnego nieba. Pod nami obraz, jaki nie jest nam dane oglądać codziennie, na który złożyło się piękno przyrody morskiej i duch twórczy człowieka. Powietrze tak lekkie, jakiem nigdzie indziej odetchnąć nie można. Pierś rozszerza się mocną, męską radością, którą — gdyby nie wzgląd na towarzysza — najchętniej wykrzyczałbym w przestrzeń.

Przelatujemy koło nadmiernie wydłużonej wielkiej Gdyni,, koło portu osnutego ścielącemi się nisko woalami dymu, wreszcie porzuciwszy ląd nad osobliwą igłą półwyspu rewskiego skracamy sobie drogę do Wielkiej Wsi po cięciwie łuku, który tworzy wybrzeże zatoki Puckiej.

Morze jest tutaj zupełnie gładkie. Poprzez jego błękit przebija żółte piaszczyste dno i zatoka wygląda jak wypukły, pięknie oszlifowany kamień akwamaryny w złocisto-zielonej oprawie. Nad Wielką Wsią wzrok doznaje niespodzianki. Jasną plażę plamią drewniane baraki. Tu i ówdzie uwijają się czarne gromadki robotników. Przy pracujących kafarach ukazują się z jednostajną regularnością białe wykrzykniki pary, aby zginąć natychmiast na wietrze jak westchnienie strudzonego człowieka. W morze wpierają się od lądu mola nowego portu, Władysławowa, który został pomyślany jako główny punkt oparcia dla rybaków z osiedli, położonych nad otwartym Bałtykiem. Zmarszczki morza wyglądają z góry jak nieruchomo zastygłe fałdy piasku na pustyni, ale koronka białej piany przy brzegu i na zachodniej stronie mola świadczą, że ten szklany bezruch jest tylko złudzeniem.

Pilot wskazuje port i usiłuje przekrzyczeć łoskot silnika.

— Pracują na dwie zmiany — domyślam się słów z ruchu jego warg.

Nagle po prawej burcie linja widnokręgu podskakuje gwałtownie. W miejscu, gdzie przed chwilą było niebo, widzę morze, rozdzielone wąskim językiem półwyspu, ciągnącego się hen, daleko... Zrobiwszy efektowny wiraż lecimy teraz nad torem kolejowym, wyprężonym wzdłuż helskiej mierzei, wzdłuż chylu, jak nadbałtyccy prasłowianie nazywali wydmę piaszczystą. Nawiasem mówiąc wydaje mi się, że zbyt pochopnie uznaliśmy za swoją holendersko-niemiecką nazwę: Hel, z krzywdą swojskiego Chylu, skoro ten sam pierwiastek został jednak zachowany na przykład w Chylonji.

Mijamy demokratyczne Chałupy i Kuźnicę, nieco dalej — pretendującą do lepszej sfery, chociaż ciasno i bezładnie zabudowaną Jastarnię, mijamy piękną, dumną Juratę i oto już sam stary Hel, koniec tego miecza, którym pomorski Gryf zasłania nam Gdynię. Godło dawnej polskiej bandery królewskiej, dzisiaj powtórzone na proporcu dziobowym naszych okrętów wojennych, również wyobraża ramię, koncerzem zbrojne... Wdzięczny materjał dla mistycznych rozważań i poetyckich natchnień...

Doniosłe pod względem strategicznym położenie Helu zostało wykorzystane w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wojskowych przez Dowództwo Obrony Wybrzeża i mylą się ci, którzy ze szczupłości naszej floty wojennej wyciągają lekkomyślnie wniosek o rzekomej bezbronności Gdyni od strony morza. Ale omijając ten zakazany dla niepowołanych teren zawracamy z powrotem.

Plaża zarówno od strony otwartego Bałtyku, jak od strony Zatoki jest zupełnie pusta. Nawet obok łodzi wyciągniętych na piasek i bezwładnie przechylonych na bok nie widać krzątających się rybaków, którzy zapewne jedzą obiad albo odsypiają noc spędzoną na połowie. Mijamy znowu port w Wielkiej Wsi i skręcamy na zachód wzdłuż szerokiej, czarnej od asfaltu autostrady. Oto biało-czerwona latarnia im. Żeromskiego w Rozewiu, dalej długi parów Lisiego Jaru, zaznaczony jasnym sześcianem pamiątkowego obelisku, malownicza Jastrzębia Góra, wreszcie ciągnący się aż po granicę niemiecką najpiękniejszy odcinek naszej plaży, szerokiej i białej jak karta papieru. Aż dziw, że na tej karcie nie zapisano jeszcze żadnych poważniejszych inwestycyj. Kapitał prywatny śpi... Tem gorzej dla niego, bowiem plaża jest tu taka piękna. jak nigdzie indziej na naszem Wybrzeżu. Szerokie wydmy, oparte o sosnowy las, doskonale nadawałyby się po podwyższeniu i wzmocnieniu pod twarde, żwirowane lub betonowane promenady z restauracjami i hotelami.

Wszędzie pustki. Tylko w Karwi ciągnie się długi szereg dużych, wojskowych namiotów. Nozdrzy naszych poprzez woń rozgrzanego silnika dolatuje nikły zapach dymu, który kłębi się z kominów kuchni, wymurowanej lekkomyślnie na skraju lasu. Las jest sosnowy i niebezpieczeństwo pożaru w razie suszy — duże. W pianie przybrzeżnej i na plaży — mrowisko kilkuset nagich postaci w ciemnych spodenkach kąpielowych. Na widok przelatującego nisko samolotu machają ku nam przyjaźnie rękami. Zataczamy koło i zniżamy lot do kilkunastu metrów. Widać otwarte usta, błyskające bielą zębów i pomimo huku silnika słychać potężny, chóralny okrzyk na naszą cześć. Trwa to zaledwie sekundę, bowiem pilot zuchwałą świecą podrywa samolot w górę. Z wyciem gwałconego silnika wchodzimy na 400 metrów. Jeszcze chwila i oto już Piaśnica, za którą zaczyna się inne państwo, kraj, który w ostatnich latach tyle zgotował światu niespodzianek i pono niejedną jeszcze chowa w zanadrzu: Rzesza Niemiecka.

Zawracamy i oderwawszy się od morza, po kilkunastu minutach lotu nad cichą, nieco senną ziemią kaszubską lądujemy w Rumii. Silnem tupaniem przywracam obieg krwi zdętwiałym nogom i dzielę się z pilotem wrażeniami odniesionemi z nad brzegu morskiego. Wrażenia te dadzą się streścić zwieźle: cudowny, zachowany w swojej nieco egzotycznej dzikości skrawek Polski, hojnie uprzywilejowany przez Boga, a niedoceniony przez ludzi, których — skoro pominąć powstający w Wielkiej Wsi ośrodek przemysłowo-rybacki oraz ów obóz w Karwi — wogóle nie widzieliśmy.

— — — — — — — — — — —

Tak się złożyło, że po miesiącu miałem możność zrobić identyczny lot nad Wybrzeżem. Jest połowa lipca, godzina również południowa. Kierujemy się tym razem po przez Zatokę prosto na Hel. Mijamy liczne statki idące z Gdyni lub do Gdyni. Wyglądają jakby stały w miejscu i tylko mydliny piany u dziobu i długi kąt zmarszczonej wody za rufą świadczą, że jednak statki te płyną. Przed Helem morze ciemnieje. To najgłębsza część Zatoki.

Pozostawiając sam Hel po prawej ręce zawracamy wzdłuż mierzei ku jej nasadzie. W zdumieniu przecieram szkła ochronne. Co się stało z tem pustkowiem, które tak niedawno zachwycało swoją dzikością?... Tysiące ciemnych postaci, upstrzonych fantastycznemi kolorami kostjumów kąpielowych, zalega piasek półwyspu tak od strony otwartego morza, jak i Zatoki. Na plażach, w pobliżu łazienek postacie te zagęszczają się niezwykle, między osiedlami stają się rzadsze, ale miejsc wolnych od nich nie widać zupełnie. Raz po raz przelatujemy ponad licznemi i tłumnemi wycieczkami. Na barkach idących — garby plecaków. Głowy przeważnie obnażone. Bose, śmiesznie drobne w stosunku do tułowia, bo z góry, w silnym skrócie widziane nogi wytrwale depcą piasek przymorski, zlizywany przez fale. Mijamy gęsto rozsiane skupiska białych i zielonych namiotów. To morskie obozy letnie, gdzie harcerz, akademik, uczeń, robotnik, żołnierz, wreszcie zwykły cywil z Ligi Morskiej i Kolonjalnej mają możność oddychania niezrównanem powietrzem i obcowania z morzem na pewno bardziej bezpośrednio, niż wygodny, obawiający się lada deszczyku gość pensjonatu.

— — — — — — — — — — —

W ostatnich czasach w świecie literacko-dziennikarskim powiał osobliwy wiatr: daje się wyraźnie wyczuć tendencję do gaszenia tzw. „entuzjazmu morskiego" i pomniejszania wszystkiego, co do tej pory zostało na morzu i na Wybrzeżu przez nasz naród zdziałane. Niektórzy pisarze patrzą na Gdynię wyłącznie przez pryzmat nędzy bezrobotnego „biczkomera", łazęgi portowego. Tymczasem zjawisko, zwane sumarycznie Gdynią, należy ujmować — bynajmniej nie przymykając oczu na niewątpliwe błędy i niedociągnięcia — jako całość, z pewnej perspektywy. Tym panom, którzy tak pochopnie pomniejszają nasze morskie poczynania, radzę zrobić podobną wycieczkę samolotem: uczy ona znakomicie poczucia owej perspektywy, tak przecież potrzebnej przy każdej krytyce.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 30 **Niedziela, 24 lipca 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 30-GO:



Wojna japońsko-chińska, prowadzona ze zmiennem szczęściem i powodująca coraz to nowe zaognienia międzynarodowe, zdaje się dochodzić obecnie, po licznych klęskach Chińczyków, do pewnej stabilizacji, o ile... nie wmieszają się w nią Sowiety. Na naszem zdjęciu widzimy część fortyfikacyj, zdobytego przez Japończyków miasta, przez które przeciągają niekończące się kolumny artylerji.

Fot. Scherl — Berlin.



Niezwykle ciekawe zdjęcie z wyścigów w Moonee Valley w Australji, w których przez dłuższą chwilę trzy konie biegły łeb w łeb, przyprawiając grających w „totka" o niezwykłe emocje.



PANOWIE
W SZARYCH CYLINDRACH

Kiedy czyta się o wielkich wyścigach w Epsom, Ascot, Longchamps czy też Chantilly, w naszej wyobraźni jawi się cały wytworny świat: piękne panie w najmodniejszych toaletach, a więc zarówno przedstawicielki najstarszych rodów, jak i mannequins wielkich „domów mody", noszące z wdziękiem, nieco stereotypowym, najnowsze kreacje. A obok nich wytworni gentelmeni w nienagannie skrojonych żakietach z lornetką w futerale przewieszoną przez ramię i z nieodłącznym... popielatym cylindrem.

Ci „kawalerzy popielatego cylindra" — jak ongiś „rycerze okrągłego stołu", nie są tylko wytworami wyobraźni powieściopisarzy i rysowników — ale są to istoty żywe z krwi i kości, o czem łatwo przekonać się można, udając się poprostu na słynne „derby" w Epsom, czy też w Chantilly. Nawet w autobusach zdążających na plac wyścigów widzi się o wiele więcej szarych cylindrów, aniżeli zwykłych kapeluszy.

Gdyby zapytać tych „rycerzy szarego cylindra", dlaczego właściwie jadą w takiem nakryciu głowy na derby, byliby zapewne zaskoczeni tem pytaniem i odpowiedzieliby niewątpliwie, że robią to dlatego, ponieważ to samo robili ich dziadkowie i pradziadkowie.

Nie znaczy to jednak, aby wszyscy „szarocylindrowcy" byli rodowymi arystokratami i ludźmi wybitnie zamożnymi — jest wśród nich również wielu, którzy nie należą ani do rodowej, ani też pieniężnej arykracji, a są tylko przygodnymi „sportsmenami", dla których wyścigi są wielkiem wydarzeniem ich naogół szarego żywota.

Popielaty cylinder to coś w rodzaju obowiązującego munduru miłośników hippiki.



Od lewej: Oto przemiany, jakim podlegał strój dżokejów angielskich: dżokej z r. 1684 i jego późniejszy kolega z r. 1807 (The Illustrated Sporting and Dramatic News).

W swej powieści „Czerwone i czarne" (Rouge et Noir) francuski powieściopisarz Stendhal ujął przeciwieństwa życia „męskiego" w dwu tych kolorach, widząc je w żołnierzu i mnichu. Popielaty cylinder natomiast jest znakiem rozpoznawczym dla mężczyzny, który jako cywil przechyla się na stronę żołnierza-kawalerzysty, bo serce jego należy do konia. Już u Homera towarzyszem człowieka jest koń. W ciągu tysiącleci człowiek zrobił z konia to, czem jest on obecnie. Z tego wszystkiego, co człowiek wziął w swe ręce, aby je wykształcić, uformować i rozwinąć, koń udał mu się najlepiej. W swej miłości do konia człowiek nie zawiódł się.

Tor wyścigowy jest niejako symbolem dzikiej gonitwy życia, a wszystko co jest dookoła tego toru stanowi to, co czyni życie miłem, a więc piękne kobiety, niebo, lasy, no i stajnie końskie, a przedewszystkiem emocjonująca gra.

A to „coś" pociągać będzie zawsze kobiety ku tym „kawalerom", bo jest to spojrzenie mężczyzny, który przez całe życie patrzył się tylko na piękne stworzenia.

Było to temu 155 lat, kiedy Edward Smith Stanley, XII Earl of Derby i jego przyjaciel Sir Charles Bunbury postanowili — w inte-

resie rozwoju sportu konnego — stworzyć nowy rodzaj wyścigów konnych, a mianowicie wyścig trzechlatków pod jednakową wagą na dystansie jednej mili ang. (około 1600 metrów).

Nie przypuszczali zgoła wówczas, w jakim stopniu te wyścigi, które nosiły, noszą i nosić będą zawsze nazwisko lorda Derby — nadadzą specyficzne piętno całemu życiu towarzyskiemu Anglji, a w szczególności jej high life'owi. Wprawdzie Bunbury — starszy o 10 lat od lorda Derby — życzył sobie, aby te wyścigi nazwano jego nazwiskiem, ale lord Derby zaproponował ze swej strony, aby los o tem rozstrzygnął. Moneta rzucona w powietrze, zdecydowała na rzecz lorda Derby i stąd nazwa, nadawana również i gonitwom konnym poza Anglją — stała się b. popularną i znaną wszystkim, podczas gdy o nazwisku drugiego twórcy owych zawodów hippicznych nikt nie wie.

Sir Charles Bunbury doczekał się innego zadośćuczynienia — wzamian niejako za to, że nie jego nazwiskiem ochrzczono słynne wyścigi — bo pierwszym zwycięzcą w pierwszem Derby został jego koń „Diomed".

Te pierwsze Derby odbyły się we czwartek 4 maja 1780 r. w Epsom. Sir Charles wygrał pozatem jeszcze dwa wyścigi. W roku 1801 (koń „Eleanor") i w roku 1813 (koń o znamiennej nazwie „Smoleńsk"). Natomiast ówczesny lord Derby musiał zadowolić się tylko jednem zwycięstwem, które wygrał koń jego „Sir Peter Teazle" w roku 1787.

Oficjalna nazwa tegorocznych Derby brzmi: „The 155 year of the renewal of the Derby Stakes". Jeśli jednak porachujemy dobrze, to okaże się że w tym roku przypadają nie 155-te, ale 159-te Derby. Ponieważ jednak w czasie wielkiej wojny — z powodu trudności transportowych — Derby nie mogły odbyć się jak zawsze — w Epsom, ale odbyły się w Newmarket, dlatego to pedantyczni zawsze Anglicy... odjęli poprostu te cztery lata.

Jedynym, który wygrał pięć razy Derby, był lord Egremont, a mianowicie wygrały jego konie: Assasin (1782), Hannibal (1804), Cardinal Beaufort (1805), Election (1807) i Lapdog (1826).

Jednakowoż dawniej łatwiej było wygrać Derby, aniżeli dzisiaj, bo obecnie w Derby bierze udział dziesięć razy więcej koni, aniżeli przed 100 laty.

Familja lordów Derby musiała po zwycięstwie w r. 1787 czekać okrągło 137 lat aż nareszcie w r. 1924 wygrał znów Sansovino z ich stajni, a następnie jeszcze raz w r. 1933 (koń Hyperion).

Nielada pecha miał lord Bentinck, który ani razu nie wygrał w Derby.

Król Edward VII, który był nie tylko wzorowym królem Anglji, ale również wzorem dla wszystkich sportsmenów całego świata, był dość naogół szczęśliwym posiadaczem stajni wyścigowej. Wygrał bowiem trzykrotnie Derby. Kiedy w latach 1896 i 1900 wygrały jego konie (Persimmon i Diamond Jubilee), był on jeszcze księciem Walji; w r. 1909 zaś, kiedy Minoru po zażartej walce zwyciężył o długość głowy Louviera, był Edward już ukoronowanym królem Wielkiej Brytanji.

To Derby nazwano „Derby wszystkich Derby". Kiedy sędzia wywiesił na tablicy numer 1 jako zwycięski, ogarnął wszystkich taki entuzjazm, jakiego nigdy nie było na angielskich torach wyścigowych, ani też zapewnie nie będzie.

Stare przysłowie angielskie powiada, że na Derby rodzą się majątki i majątki przepadają. Dzisiaj wprawdzie stawki stały się o wiele skromniejsze, aniżeli dawniej, kiedy to — jak n. p. w roku 1860 Dr Merry wygrał przeszło pół miljona funtów na samych zakładach. Natomiast o markizie of Hastings wiadomo, że stracił na Derby w r. 1867 180.000 funtów i wkrótce potem odebrał sobie życie.

Obecnie żyjemy pod znakiem totalizatora i okres wielkich zakładów już dawno minął — ale mimoto nie ma w całej Anglji człowieka, którýby nie był zaangażowanym stawką „half a crown" w Derby.

Ileż to razy już zagraniczni właściciele stajen usiłowali wygrać angielskie Derby, ale zaledwie paru zdołało zwyciężyć. Byli to jeden Francuz hr. de Lagrange (Gladiateur w r. 1865), następnie Włoch Kawaler Ginistreli (Signoretta w r. 1908) i trzech Amerykanów: Mr. Lorillard (Iroquois 1881 r.), Mr. Whitney, którego koń nosił, niewiadomo skąd, miano jednego z bohaterów „Trylogji", a mianowicie „Wołodyjowski" (Volodyovsky) w r. 1901) i Mr. Durey (Durbar I r. 1914).

Po wojnie wygrały trzykrotnie konie ze słynnej stajni znanego księcia indyjskiego Agi Khana, a mianowicie konie: Blenheim (1930), Bahram (1935) i Mahmoud (1936). Aga Khan jest jedynym „ownerem", który może żywić słuszną nadzieję, że uda mu się złamać rekord lorda Egremonta, pięciokrotnego zwycięzcy w Derby.

Na zakończenie należałoby wspomnieć jeszcze o słynnym angielskim jockey'u Donoghue, który w tym roku wycofał się z gonitw i został trenerem. Jest on jedynym jockeyem, który odniósł sześć zwycięstw.

Tadeusz Biliński.



Na prawo: Charakterystyczny typ starego bywalca wyścigowego, który pamięta jeszcze czasy słynnych wyścigów wiktorjańskich.

Poniżej: Odwiecznym zwyczajem odwiedza para królewska pole wyścigowe w Ascot, zajmując następnie miejsce w królewskiej loży. Oto chwila zjawienia się pojazdu królewskiego na polu wyścigowem.





Bębny są tem dla dzikich ludów Afryki, czem telegraf bez drutu dla Europejczyków...

TELEGRAF DŻUNGLI

Pewien wielki uczony oświadczył, że określenie cywilizacji można sprowadzić do stwierdzenia stanu komunikacji. Po pewnym namyśle definicja ta okaże się prawdziwą.

Od gardłowych dźwięków prehistorycznego człowieka, które mogły wyrazić zaledwie kilka rzeczy do zorganizowanego języka i bogatego słownika, od tych znów zdobyczy do słowa pisanego, wkońcu dalszy etap rozwoju prowadzący do telegrafu, telefonu, radja... oto olbrzymia droga, jaką przebywa ludzkość.

A mimo to...

Już od tysięcy lat tak zwani „dzicy" posiadają wysoce rozwinięty zmysł komunikowania się na odległość z szybkością daleko większą, niż może o uczynić konny posłaniec.

Słyszeliście zapewne o telegrafiście dżungli: w związku z tem zdarzyła się oryginalna rzecz po śmierci króla Edwarda VII, gdy pewien angielski komisarz dystryktu w północnej Nigerji otrzymał z centrali telegram z wiadomością o śmierci króla. Wiadomość przyszła wczesnym rankiem, komisarz kazał sprowadzić swego kolorowego pomocnika i rozkazał rozesłać wiadomość do okolicznych osiedli i fortów z tem, by opuszczono na pół masztu chorągwie i poczyniono odpowiednie przygotowania do żałoby. „Dziki" pomocnik oświadczył jednak, że wszystko jest już załatwione i dodał:

— O śmierci wielkiego króla słyszeli już wszyscy w promieniu kilkudziesięciu mil.

— Jakto słyszeli? — zdziwił się komisarz i pomyślał: „któż mógł w takiem tempie zawiadomić dzikich o fakcie, który został mi podany przez telegraf?"

Dzicy jednak zostali powiadomieni przy pomocy swego własnego telegrafu. Ludzie, którzy spędzili długi czas w „buszu" stwierdzają z całą pewnością istnienie jakiegoś niewytłumaczalnego sposobu komunikowania się dzikich. Niektórzy przypisują to telepatycznym właściwościom oraz wprowadzają okultystyczne momenty, ale sercem niejako tego dziwnego telegrafu jest poprostu bęben, cały zaś system sygnalizowania niema w sobie nic okultystycznego pomimo, że szybkość nadawania wiadomości jest nieraz wręcz zadziwiająca.

O ile my ludzie cywilizowani możemy nadawać i otrzymywać wiadomości przy pomocy kodeksu Morsego i odpowiedniego aparatu nadawczego czy odbiorczego, o tyle znów dzikim aparat ten zastępuje bęben. Co do formy, konstrukcji itd. różni się on zależnie od plemienia: nieraz bywa to całe drzewo, a nieraz mały przyrząd o przekroju sześciu cali. Istnieją jednak „wielkie bębny", używane jedynie jako środek porozumiewawczy między plemionami, a wtedy są to całe pnie drzew, z których wydobywa się odpowiednie dźwięki przez uderzanie grubym kijem. — Specjalna sztuka i tradycja reguluje przy wyrobie bębnów ich rozmiar, materjał, z którego są zrobione, szerokość i długość. Ale żaden biały człowiek nie umiałby podrobić tego prostego a jednak arcyciekawego instrumentu. Również nie udało się żadnemu z białych podsłuchać owego tajemniczego języka, czy poszczególnych słów, które „nadają" na bębnach dzicy. Poprostu każdy taki dźwięk jest dla naszych uszu identyczny z następnym i nie rozumiemy zupełnie zachodzących pomiędzy niemi różnic. Dźwięki te przypominają może szum lasu, może głosy dzikich zwierząt, może też okrzyki murzynów.

Ale dzicy wiedzą, co te dźwięki znaczą i orjentują się podług nich jak najlepiej. Nieraz dzicy budują swoje „stacje nadawcze" w pobliżu źródła lub jeziora, do którego przychodzą pić zwierzęta.

W jakich okolicznościach dzicy posługują się tym dziwacznym „telegrafem Morsego"? Używają go, zrobionego z pnia drzewa, przedewszystkiem celem ostrzeżenia przed zbliżającem się niebezpieczeństwem, powodzią, wojną, bęben „ju-ju" używany jest przez naczelników plemion i wysoko postawione osobistości nawet dla zakomunikowania drobnych domowych wiadomości, gdy jednak odzywa się wielki bęben, wszystkie inne milkną. Oczywiście że ten rodzaj telegrafu bez drutu ma swoje słabe strony: plemiona dowiadują się o różnych drobiazgach z życia swych szefów, o ich nieszczęściach małżeńskich itd. Ale może nie słyszą tych rzeczy, których nie powinni słyszeć? Może umysł dzikich jest tak lojalny, że nie stara się pochwycić cudzych tajemnic?

Istnieją też bębny dla celów zwykłej rozmowy. Dźwięk ich rozróżniają dzicy po jakimś drobnym szczególe; bębny grają więc rolę „heroldów miejskich" obwieszczających różne wiadomości. Ale nawet takie drobiazgi, jak zaproszenie na kolację przekazuje się z wsi do wsi.

Niektóre rasy Eskimosów używają również bębnów celem porozumiewania się na wielką przestrzeń, zdaje się jednak, że w tym wypadku naprawdę chodzi o właściwości telepatyczne. W dusznej ciasnej izbie, wypełnionej dymem siedzi na ziemi grający na bębnie w otoczeniu kilkunastu osób. Powolne, monotonne uderzenia w bęben tworzą jakiś hipnotyczny nastrój tak, że obeni wspadają w „stan odbiorczy" lub „nadawczy" odnośnie cudzych myśli. Faktem jest jednak stwierdzonym, że poprzez wielkie przestrzenie arktyczne porozumiewają się ze sobą Eskimosi: biali, którzy studjowali te sprawy twierdzą, że głos wydawany przez bęben w domku Eskimosów nie jest jednak słyszalny w odległości stu yardów.

Poza komunikacją zapomocą dźwięków istnieje również u dzikich komunikacja optyczna, ale przeważnie tylko u tych szczepów, których domostwa znajdują się w górach. Południowo-amerykańscy Indjanie używali już za czasów Corteza „heliografów", zrobionych z polerowanego kwarcu. Gdy wielki zdobywca hiszpański zjawił się w Południowej Ameryce Indjanie sygnalizowali jego przybycie wzdłuż Andów.

Czerwonoskórzy Indjanie również używają takiego optycznego telegrafu przy pomocy rozpalania ognia z drzewa.

Ciekawa jest teorja niektórych antropologów, którzy znaną milkliwość Indjan przypisują ograniczonym możliwościom porozumiewania się. Może to dziwić, ale jest pewnikiem, że mieszkańcy Afryki posiadają bardzo bogaty słownik, o ile uzna się różne dźwięki sygnalizacyjne za język. Dlatego też dzicy, nie znający naszej sztuki pisania umieją się porozumiewać bez trudności.

Słynny podróżnik i awanturnik angielski Lawrence, zwany „Lawrence of Arabia" powiedział w odniesieniu do Beduinów, że „piasek jest ich gazetą". Zdarza się nieraz, że taki mieszkaniec pustyni umie wywnioskować z znaków na piasku, jaki szczep przechodził drogą, ile było wielbłądów w karawanie i wiele jeszcze innych szczegółów, które nam, Europejczykom, podają gazety.

U Indjan Guaranji, oraz szczepów żyjących nad Amazonką, komunikowanie się zapomocą układania pewnych liści i gałęzi na drodze jest rzeczą zwykłą.

Przykładów podobnych możnaby przytoczyć bardzo wiele: one wszystkie niezbicie dowodzą, że poza naszymi „cywilizowanymi" sposobami porozumiewania się na odległość, istnieją inne, wprawdzie prymitywne, ale niemniej praktyczne od naszych, do których jednak trzeba posiadać wrodzony instynkt człowieka pustyni i puszczy, pozwalający mu z nich korzystać.

Carl Olsson.

Zapamiętaj tę radę!

Dla cery najlepszy jest olejek oliwkowy!



Mydło Palmolive, wyrabiane na olejku oliwkowym, tak doskonałe dla delikatnej skóry Pięcioraczków—będzie z pewnością równie dobre dla Pani. Natura nie stworzyła bowiem nic lepszego, niż olejek oliwkowy, dla udelikatnienia, wzmocnienia i upiększenia skóry. Wypróbuj mydło Palmolive również do kąpieli!

Przy kupnie żądaj wyraźnie oryginalnego mydła Palmolive. Wystrzegaj się naśladownictw.

Pięcioraczki Kanadyjskie używają wyłącznie Palmolive, łagodnego mydła na olejku oliwkowym.

Doskonałe zdjęcia





uzyskuje się dzięki wysokiej jakości materjałów fotograficznych
E R O

BŁONY
PŁYTY
PAPIERY



Ero

Ra

ZADOWOLENIE FACHOWCA — RADOŚĆ AMATORA!

KĄCIK FILATELISTYCZNY

100
OPETATUD EESTI SELTS



Najnowszy blok znaczków estońskich, wydany w setną rocznicę założenia „Towarzystwa Filozoficznego" w Talinie.

Ostatnie nowości filatelistyczne: u góry znaczek Danji, wydany w rocznicę zniesienia poddaństwa 20. VI. 1788, w drugim rzędzie amerykański znaczek (150-lecie ratyfikacji Konstytucji) i francuski z okazji mistrzostw świata w piłce nożnej, w trzecim rzędzie po bokach nowe znaczki U. S. A., w środku niemiecki znaczek lotniczy, u dołu jubileuszowy znaczek U. S. A. (300-lecie wylądowania kolonizatorów ze Skandynawji).



RIRE

1900



Babka Europy: Jej Urocza Mość królowa Wiktorja.



Męczennik królewskiej korony: Alfons XIII.



Tête á tête ze śmiercią: sultan Abdul Hamid.

Satyra polityczna w wielkim stylu należy bezwątpienia do czasów przedwojennych: dzisiejsze ustroje państw totalistycznych jak również ogólne zmęczenie polityką i grożącą wojną, nie pozwalają na rozwinięcie się prawdziwego dowcipu politycznego. Naówczas satyra, rysunek czy złośliwy wiersz, stawały się bronią potężną, którą szermowano na równi z interpelacjami w parlamencie. Prym w tej dziedzinie wiodła Francja: jej „Assiette au Beurre", jej „Rire" i inne pisma rozchodziły się po całym świecie. Z nich to, może bardziej jak z poważnych pism, wnioskowano o nastroju ponującym we Francji. Gdy wojna Angli z Boerami wzbudzała zainteresowanie całego świata, francuskie pisma humorystyczne w setkach rysunków opisały życie Anglików, ich śmiesznostki, ich słabe strony. Termin „nos amis les Anglais" stał się na wiele lat, aż do chwili powstania Entente'y, więcej jak humorystycznem określeniem, stał się wykładnikiem sympatji lub antypatji Francji, wobec narodu, do którego zbliżyły Francuzów dopiero wymagania polityki. Rzecz prosta, że humor francuski jeszcze lepiej używał sobie na Niemcach i na Wilhelmie II, którego przydomek „Lui" pozostał mu na stałe. Paradne były na temat „drwala z Doorn", karykatury Rosjanina Caran d'Ache'a i Polaka d'Ostoya. — Każdy prawie z monarchów czy wybitnych osobistości europejskich otrzymał w francuskiej prasie swój przydomek. Leopolda II. rzekomego przyjaciela tancerki Cléo de Mérode nazwano „Clépoldem" z tytułem „le roi des Belges et des Belles", Franciszka Józefa ochrzczono mianem „protektora Bałkanów", o małym naówczas Alfonsie XIII. mówiono „urośnie gdyż jest Hiszpanem", a swych własnych prezydentów częstowano niemniej trafnemi i złośliwemi epitetami. I tak Fallières pozostał „Papa Fallières", Feliks Faure „le beau Félix", a słynny w dziejach ostatnich lat XIX. stulecia jen. Galliffet otrzymał miano „le marquis talon rouge" co było aluzją do krwawego stłumienia rozruchów przez jenerała w Paryżu.

Prym w tej ciągłej kampanji politycznej wiódł „Le Rire". — Pismo to wydało serję karykatur na najwybitniejsze postacie tych czasów: spotykamy tam dziś żyjących Alfonsa XIII., który wtedy będąc dzieckiem, prowadził jako król Hiszpanji nieszczęśliwą wojnę z Ameryką, widzimy również nieprzyjaciela króla, prezydenta U. S. A., Mac Kinleya, widzimy poprzednika Haile Selassie, Menelika II, w otoczeniu odalisek, widzimy królową Wiktorję nazwaną „Sa Gracieuse Majesté". Jest to specjalny typ karykatury, tak dalece oryginalny, że odróżniający się na pierwszy rzut oka od wszystkich innych. Odrębny, również wspaniały typ karykatury stworzył w kilka lat później słynny rysownik „Simplizissimusa" Gulbransson lub Th. Heine, poświęcający swój ołówek prawie wyłącznie na „usługi" Wilhelma II.

Dziś pomimo wielu „zdobyczy" społecznych, genjusz karykatury politycznej jakby zasnął: może nie pozwala mu rozwinąć się cenzura a może humoryści polityczni uważają, że realne zdarzenia są stokroć śmieszniejsze?

JGM.



Król królów Menelik II, cesarz Abisynji.



Prezydent U. S. A. Mac-Kinley walczy z małym Alfonsem XIII na morzu.



Feliks Faure, najwytworniejszy prezydent republiki francuskiej.

Livy

LUIGI CHIARELLI

PRZEKŁAD ZOFJI JACHIMECKIEJ.

NOWELA

Był to elegancki młodzieniec. W kołach wysokiego towarzystwa londyńskiego wszyscy go znali; wystarczyło powiedzieć Livy, żeby odrazu stworzyć sobie w umyśle najdoskonalszy, najbardziej tradycjonalny obraz elegancji angielskiej. Sława jego przekroczyła nawet wodne granice ojczyzny, a eleganci z Paryża, Madrytu, Budapesztu i Berlina, gdzie, prawdę mówiąc, jest ich niewielu, znali go ze słyszenia a także i z widzenia choćby nawet przelotnego. Pisma ilustrowane często zamieszczały jego portrety, a zeszłego roku była nawet taka chwila, kiedy mówiło się o nim więcej, niż o Grecie Garbo, a to z powodu pewnej kamizelki z rozmaitemi guzikami. Jednakże nikt się nie dowiedział, na czem polegał ten nowy wynaleziony przez niego sposób rozmieszczenia guzików.

Kształcił się w Oriel College w Oxfordzie i wyszedł z sal egzaminacyjnych z wszystkiemi papierami w porządku. Ten szczęśliwy wynik sprawił zrozumiałą przyjemność jego biednemu ojcu — biednemu, ponieważ umarł — przyjemność, w której uczestniczył odrazu życzliwy krąg rodziny oraz dalecy krewni, mieszkający w Szkocji. Ale w Londynie, aczkolwiek nikt nie mówił, że on jest głupi, wszyscy tak się do niego odnosili, jakby nim był. Nie słyszało się nigdy, żeby ktoś zapytał go o zdanie w jakichś sprawach natury duchowej, które zaprzątają jasnowidse umysły Anglików, lub żeby ktoś chciał usłyszeć jego sąd o jakiemś ważnem zdarzeniu. Ale on nie zważał na to; być może, że gdyby zwrócono się do niego z takiemi pytaniami, prawdopodobnie nie raczyłby nawet na nie odpowiedzieć.

Ponieważ był dumny; dumny i szczęśliwy. On był Livy i wszyscy wiedzieli, że to on był Livy.

— — — — — — — —

Królestwo Livy'ego — to był Bond Street; naturalnie Old Bond Street. Kiedy pojawiał się na tej ulicy, kupcy wychodzili przed sklepy, żeby mu się pokłonić; on zaś podobny był do księcia krwi, który dokonywa przeglądu swego pułku. Czasami skręcał na Conduit Street i wówczas wszyscy wiedzieli, że szedł zamówić krawatki, własne swoje krawatki tak co do materjału, jak i kształtu oraz barwy. Wkrótce potem widziało się w obiegu podobne krawatki, gdyż złota młodzież pilnie śledziła nowości Livy'ego i stosowała się do jego gustu, ale zupełnie identycznych nie było, ponieważ w jego rzeczach krył się zawsze jakiś szczegół, którego nikt nie był w stanie naśladować. Jeśli chodziło o głowę i nogi, to droga jego prowadziła na Saint James. Thomas i Lock: szewc i kapelusznik, najsłynniejsi na cały świat. Kiedy Livy zjawiał się w sklepiku Locka i Spółki, wychodził ku niemu różowy staruszek, który, powitawszy go, dzielił się z nim swojemi uwagami na temat pogody: piękna, ładna, nie najgorsza, nigdy zaś brzydka, nawet jeżeli lało jak z cebra. Potem, w tem wąziutkiem przejściu między ladą a półkami pełnemi pudeł, zawiązywała się krótka rozmowa, sucha co do formy i treści, gdyż kapelusze Locka mają tylko kilka typów i powtarzają się jak monety. Następnie Livy wychodził; ale zanim oddalił się, przystawał na chwilę, aby przyjrzeć się kapeluszom, z których niejeden miał sto lat a nawet więcej; małe muzeum firmy Lock i Spółka.

W sklepie Thomasa rozmowa była bardziej urozmaicona; Livy wyrażał swoje życzenia i swoje zapatrywania; zamawiał, wyjaśniał i korygował. Gdy rozprawiał o bucikach, tak jasno i tak osobliwie zarazem, słuchało go się z wielką przyjemnością. Odczuwało się żal, że ludzie mają tylko dwie nogi. Pewnego razu, podniósłszy wzrok na patent wydany w dobrych czasach przez hiszpańskiego króla Alfonsa XIII, patent, wiszący na prawo od wejścia, Livy pomyślał sobie, że i jego mogliby poprosić o taki dyplom i wystawić go na widok publiczny, zaszczytny tytuł, który napewno miałby taką samą wartość jak ten, udzielony przez zdetronizowanego króla. „My Livy..." nie. „Udzielamy firmie..." także nie. „To nie tak łatwo ułożyć poświadczenie", pomyślał wkońcu i spojrzawszy do lustra lekko dwoma palcami poprawił węzeł krawatki.

— — — — — — — —

Również i tego ranka zbudził się o ósmej, jak to było jego zwyczajem. Kamerdyner podał mu herbatę, którą Livy wypił powoli, małemi łykami i z całem uszanowaniem poinformował go, że zapowiada się wspaniały dzień. Potem przypomniał mu, że popołudniu odbędzie się garden pary u lady Betterley, w której przyrzekł wziąć udział i że jest zaproszony na obiad do lorda Waltera Burrylow. Wkońcu zapytał, czy pan nie ma nic więcej do rozkazania i gdy ten odprawił go lekkim ruchem ręki, wyszedł stąpając cicho, gdyż jego młody pan nie znosił hałasów tak odrazu po przebudzeniu się.

Livy wziął ze srebrnej tacy kilka listów, obrócił je parę razy w palcach, przeczytał adresy i usiłował odgadnąć, od kogo pochodziły; potem położył je zpowrotem na tacy, ponieważ twierdził, że jest rzeczą szkodliwą przeciążać umysł od wczesnego ranka, zanim ciało zdołało odzyskać całą swoją jędrną sprężystość. Podniósł się z łóżka i stanął przed wielkiem lustrem, które odzwierciedlało całą jego postać. Pyjama była bardzo piękna; chociaż spał w niej przez całą noc, nie było ani śladu zmarszczek na jedwabiu, na lekkim i miękim jedwabiu, preparowanym sposobami, których sekret znany był jedynie fabrykantom japońskim; jedwab koloru blado-szafirowego, przetykany był różowemi niteczkami, które łagodziły ton tego szafiru i czyniły go podobnym do barwy świtów, jakie widywał w dalekim kraju... nie pamiętał już gdzie. Pantofle także były szafirowe, ale trochę ciemniejsze od pyjamy. Zrobił trzy przysiady i udał się do łazienki.

Było to dwunastego czerwca. Słońce poranka, młode i jasne, piękne, zaledwie ciepłe słońce londyńskie, igrało z dziecinną radością wśród liści dębów, na fryzach domów, na gzymsach okien. I ta jego radość udzielała się powietrzu i sercom. Livy również był wesoły. Tegoroczny *seanson*, bardzo ożywiony i pełen ciekawych wydarzeń, przysporzył mu dużo miłych sukcesów, za któremi miały pójść inne jeszcze. To słońce i to łagodne powietrze, pomyślał Livy, harmonizowałyby dobrze z wonną esencją, którą dostawał z Rzymu, a którą przyrządzano z pewnych ziół, zbieranych w Kampanji rzymskiej. Wlał parę jej kropel do wanny, wziął mydło, pachnące tą samą esencją i zaczął swoje czynności poranne, które wraz z pielęgnowaniem ciała, ubieraniem się i ćwiczeniami fizycznemi trwały od kwadrans na dziewiątą do jedenastej. Po kąpieli pół godziny gimnastyki w pokoju, ani minuty dłużej ani minuty krócej, pół godziny sumiennej pracy w celu utrzymania smukłości i elastyczności, tak potrzebnych do dobrego noszenia ubrań; te jego zabiegi nie miały nic wspólnego z higjeną; po ćwiczeniach zimny tusz, a po tuszu pięć minut umiejętnego ma-

sażu. Potem oddawał się w ręce fryzjera i manicurzystki, którzy codziennie od dziewiętaj trzydzieści pięć czekali na jego wezwanie. O dziesiątej pierwsza część była ukończona i Livy zaczynał się ubierać.

To uśmiechnięte słońce i te ciepłe powiewy napełniały mu serce radością; następnie zaś miłą mu była myśl, że zje śniadanie u Ritz'a w towarzystwie swego przyjaciela Edwarda i miss Lucy Wellymore. Lucy była prześliczna i ogromnie mu się podobała; w tych czasach nazwisko jej było na ustach wszystkich, gdyż chcąc zrobić na złość swej starej szlacheckiej rodzinie, jak to było w modzie, zaangażowała się do baru na Oxford Street i podawała napoje spragnionym, których bywało dużo i z każdym dniem coraz więcej.

Koszula była szaro-niebieska w cieniutkie prążki blado-liljowe. Buciki ze skóry foki, barwy zwiędłego liścia dość ciemne i skarpetki w tym samym odcieniu. Kiedy przyszła kolej na krawatkę, Livy odtrącił tę, którą podawał mu kamerdyner i stanąwszy przed szafką, zaczął przerzucać jedną po drugiej: ilekroć zdawało mu się, że znalazł odpowiednią, przymierzał ją do koszuli, a potem do ubrania, aby przekonać się, czy harmonizowała tak, jak tego pragnął. Wkońcu wybrał jedną krawatkę, której zielonawe i liljowe odcienie zlewały się w nadzwyczaj delikatny akord; związał ją powoli, nie ściskając zanadto, uważając, żeby koniuszki miały tę samą długość. Ubranie było gotowe, a kamerdyner czekał, trzymając spodnie na rękach. Lekka wełna, czesanka barwy szarej, przechodzącej miękko w zieloną, jak niektóre liście drzewa oliwnego, poprzeżynana ciemno-czerwonemi nitkami. Livy wdział spodnie i przejrzał się w lustrze; dobrze. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od lustra. Potem kamizelka i dwurzędowa marynarka. W tym momencie zatrzymał się; była to przerwa, której nie wyrzekłby się za nic w świecie. I poddał się długiemu, skrupulatnemu, surowemu badaniu przed tem lustrem, które odzwierciedlało go z całem nabożeństwem i uszanowaniem. Nie można było niczego zarzucić i Livy uśmiechnął się do siebie na znak zgody. Odwrócił się i wziął z rąk kamerdynera białą chustkę — nie znosił kolorowych chustek — którą sam skropił esencją z Kampanji rzymskiej. Papierośnica z biało-czarnej skóry, portfel, maszynka do zapalania papierosów, zegarek platynowy, wszystko dobrze obmyślone co do kształtu i barwy. Wkońcu kamerdyner podał mu rękawiczki z popielatej antylopy, kapelusz z szarego miękkiego filcu i laskę z główką psa. Gotowe; jeszcze raz spojrzał do lustra. Doskonale; wszystko było w harmonji z tym jasnym, ciepłym porankiem czerwcowym; i gdyby Botticelli dzisiaj miał malować allegorję wiosny, zrobiłby jego portret w takiem właśnie ubraniu. All right! I pożegnał się gestem, jakim starter daje hasło: „jazda". Zszedł pieszo po kilku schodach. Portjer z piersią pełną złotych guzików zdjął kapelusz i ukłonił się nisko. Livy odpowiedział lekkim gestem i widząc przed sobą rozsłonecznioną ulicę, uczuł w sercu przypływ szczęścia. Tak, był naprawdę szczęśliwy, młody, piękny i elegancki, najelegantszy w Londynie, to znaczy w całym świecie. Szczęśliwy!

Wyszedł i wpadł pod autobus.

Biedny Livy!

OSTATNIA GRA

JAN WITOLD WOŁOWSKI

N • O • W • E • L • A

Pod niską, rozłożystą palmą siedziało dobrane towarzystwo: Semenowicz, Marchand, Schnitzler i... ja. Czterech szefów plutonów, znanych niestety jak fałszywy frank w całym dywizjonie

Schnitzler był najstarszy rangą, a w dodatku pełnił funkcje podoficera żywnościowego.

Rozpostarty na ziemi koc, zastępował stół.

Krótko mówiąc, graliśmy w karty.

Zakryci gąszczem od strony pustyni, na której o kilkadziesiąt kroków dalej bielił się kwadrat naszych namiotów, byliśmy dobrze schowani przed okiem naszego wodza kapitana Baautiran — zwanego „Beau-tiran".

Było to po dekadzie i pieniędzy mieliśmy wbród. Nie było gdzie wydać. Kopyta naszych koni od ośmiu miesięcy nie dudniły po bruku żadnego miasteczka, w którem byłaby knajpa, no i to, co po powrocie z dystryktu kosztuje najwięcej, piękne oczy i zwodniczy uśmiech...

Graliśmy w dwadzieścia jeden.

Semenowicz trzymał bank. Pokaźny plik banknotów leżał przed nim.

Cóż? Chłop miał szczęście!

Ale zato gęba! — hy! Nawet stare Arabki uciekały od niego.

— Osiemnaście — dwadzieścia jeden! — krzyknął uradowany Schnitzler, który postawił grubo, przegrawszy przedtem sporo pieniędzy.

Bułgar zmrużył oczy i wolno, z namaszczeniem, odkrywał karty.

— Ja też! Hi, hi, hi!

Prowjantowy zbladł. Zapalił nerwowo papierosa, a zwracając się do bankiera, rzekł:

— Semenku, kochanie! Czy ty przypadkiem nie... tego..?

Semenowicz skrzywił się:

— Gdybym nie miał szacunku dla twych galonów i dla tego salami, które w twym magazynie nie pleśnieje tylko dzięki mnie, to...

Pogłaskał głownię zdobycznego, arabskiego kindżału.

Załagodziliśmy wiszącą w powietrzu awanturę. Byliśmy wszyscy przyjaciółmi, ale kłótnie i pojedynki na pięści były na porządku dziennym. Ileż to razy kapitan bywał arbitrem w różnych sporach!

— Bierz karty Marchand, a nie bujaj myślami Hansa . — odezwałem się niecierpliwie do kolegi.

Ten jednak siedzi i ma gębę jakoś dziwnie zmieszaną.

Podnoszę oczy i..

— Psia krew! — wyrwało mi się po polsku.

Za plecami Francuza stał komendant i oparł na jego głowie dłoń, nie pozwalając mu wstać.

Poderwałem się, jak podrzucony sprężyną.

— Nie przerywajcie sobie gry! Proszę bardzo... — zabrzmiał jakoś dziwnie uprzejmy głos „Beau-tirana".

— Kapitanie... — bąknął Schnitzler.

— Powiadam ci siadaj, bo zdejmę kepi!

Był taki zwyczaj w Legji, że kiedy zwierzchnik odrzucał na bok kepi i bluzę, mógł czynnie skarcić legjonistę. Ale i ten miał wtedy pełne prawo do obrony. Wynik takiej rozprawy zależał od siły i treningu.

Nasz wódz często korzystał z tego przywileju. Bary miał jak niedźwiedź, a pięść chyba jak goryl. Bijże się człowieku z takim typem!

Każdy z nas, ilu nas było w szwadronie, zgodziłby się chętnie osiodłać panterę, gdyby tego kapitan zażądał.

To był oficer! Starszy kolega, brat i karcący w potrzebie ojciec.

Podczas walk trzeba go było dobrze pilnować, bo brawura tego oficera była poprostu warjacka.

O ile był wyrozumiały na różne wykroczenia służbowe, wpadał w pasję na widok żołnierzy, grających w karty. Tej jedynej rozrywki zabraniał surowo.

— W co gracie? — zapytał słodko.

Bułgar przełknął ślinę i wymamrotał:

— W dwadzieścia jeden...

— O key! Trzymam bank! Dawaj karty!

Cisnął na koc pięćdziesiąt franków.

Gra pochłonęła nas całkowicie. Zapomnieliśmy nawet, z kim gramy. Partja za partją...

Stos biletów Marokańskiego Banku wznosił się coraz wyżej przed kapitanem.

Po godzinie byliśmy gotowi, spłukani doszczętnie — do ostatniego franka.

Jak on grał — licho go wie...! Nikt nie śmiał zajrzeć mu w karty...

„Stary" obojętnie napełnił kieszenie pieniądzmi, przeciągnął się i ziewnął...

— Nie idzie wam karta? Co? — zapytał w tonie twierdzenia. — Cóż? Forsy już nie macie, to i trudno... A szkoda, bo moglibyśmy jeszcze pograć. Proponuję wam inny hazard. Chcę wam dać możność odzyskania pieniędzy.

Wyciągnął swój wielki rewolwer, nacisnął bębenek i wysypał na dłoń sześć naboi.

— Otóż — ciągnął — gra polega na tem, wsadzam jedną kulę w bębenek i podaję rewolwer naprzykład tobie, Marchand. Nie patrząc na rewolwer, obrócisz kilkakrotnie dłonią bębenek, aby nie widzieć, w którem łożysku znajduje się kula, następnie przyłożysz lufę do swej mądrej mózgownicy i... pociągniesz za cyngiel. Jeśli po tym eksperymencie będziesz jeszcze figurował na liście żyjących w szwadronie, odzyskasz całą przegraną. Jeśli natomiast nabój przejdzie przez lufę, no to napiszemy do twego Reims, aby nie liczono w domu na powrót marnotrawnego syna. Zgoda?!

Spojrzeliśmy po sobie. Tfu!... Do czego nas karty doprowadziły...?

Odmówić — powie tchórz! A wtedy niema co robić w szwadronie.

Kropnąć sobie w łeb dla głupich pieniędzy, to też trochę . hm... szkoda!

Schnitzler zgodził się pierwszy. My oczywiście za nim.

„Beau-tiran" sięgnął do kieszeni, wyjął garść naboi, wybrał z nich jeden ładunek i załadował go do pistoletu.

— Ile przegrałeś? — zapytał prowjantowego.

— Osiemset franków! — odparł, spuszczając skromnie oczy.

Kapitan odliczył pieniądze i położył je na koc

— Proszę, mon ami! — powiedział uprzejmie, podając mu broń.

Schnitzler chwycił rewolwer, uderzył dłonią po bębenku i natychmiast przyłożył lufę do skroni.

— Klaks...!

— Zabieraj forsę! — odezwał się oficer, nucąc pod nosem starą, obozową piosenkę.

Następnym był Bułgar.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, pociągając za cyngiel

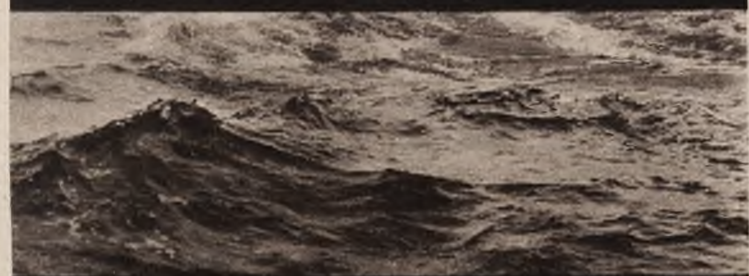
Dokończenie na str. 12-tej.

FAKTURY

RYTMY PRZEDMIOTÓW NA PŁASZCZYŹNIE TWORZĄ RODZAJ POWIERZCHNI



Drzewo.



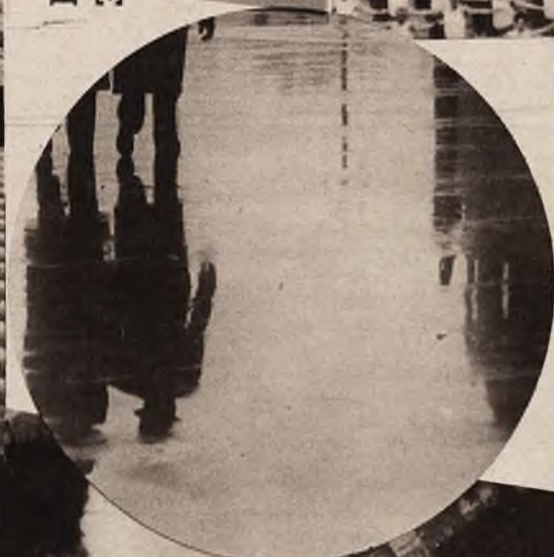
Woda.



Piasek.



Powyżej: Faktura utworzona z ludzkich ciał.



W kole: Asfalt.



Harmonja zaklęta w rytmie nóg.



Na prawo: Ziemia i chmury.

Dokończenie ze strony 10-tej.

To samo...

„Beau tiran“, śpiewał już głośno, arcyfałszywym głosem obozową piosenkę.

Marchandowi drżała trochę ręka, ale krzyknął:

— Marsz do Mahometa...!

I znowu nic...

Odbierając zkolei pistolet, ostatni, jako najmłodszy, byłem przekonany, że do trzech razy sztuka. Wierzyłem, że jestem zgubiony.

— Eh, Szkoda jednak życia!

W mgnieniu oka, jak na taśmie filmowej, przewinęła się przed oczyma cała przeszłość...

„Stary“ przestał śpiewać i zapytał wolno:

— Boisz się?

— Uhm... — odmruknąłem pogardliwie. Zimny dotyk lufy i nacisnąłem cyngiel.

— O nieba! Nic nie hukło! Żyję chyba?!

Otworzyłem szeroko oczy. Miałem ochotę fiknąć kozła z radości. Sprężyłem się jednak w postawie na baczność i oddałem broń kapitanowi.

Ten wytrząsł nabój na dłoń, a wyjmując palcami kulę z gilzy, powiedział:

— Patrzcie nicponie! Prochu nie było, a gilza już zużyta.

Śmiał się wesoło. Rzucił nabój na ziemię i zaczął ładować pistolet na serjo.

Kiedy wsunął pierwszą kulę, bawił się chwilę bezmyślnem obracaniem bębenka.

Nagle, błyskawicznym ruchem wsunął lufę do ust...!

Gruchnął głucho strzał i kapitan zwalił się ciężko na wznak!

Klęczeliśmy przy nim, a twarze nasze, opancerzone przed wszelką tkliwością serca, serca legjonistów, chciały pęknąć z żalu.

— Za co nas tak karzesz, kapitanie?

Otworzył oczy, a wspierając się na naszych ramionach, patrzył na szerokie piachy. Poruszył wargami i szepnął:

— Pustynia... Dwadzieścia lat mija, jak musiałem opuścić Francję... Przez... karty przeklęte! Zagrałem partję z sobą...! Wybaczcie chłopcy! Nie mogłem już dłużej...

W obozie trębacz grał sygnał do wodopoju...

FSRNSZV = BON JOUR

WYWIAD Z GEN. CARTIER, SZEFEM SŁUŻBY SZYFROWEJ FRANCUSKIEJ PODCZAS WOJNY.

Eadotajsnvtruei!

Niedawno odkryto szyfr Kagulardów.

Badanie tajnych dokumentów pozwoliło na mozolne zrekonstruowanie nazwy tej organizacji.

Eadotajsnvtruei!

Czy wiecie co to znaczy?

A ja wiem co to znaczy i cieszę się z tego, gdyż niedawno zostałem wprowadzony w ten tajemniczy świat szyfrów, który mnie tak pasjonuje, jak każda rzecz, o której dotychczas nie miało się pojęcia i nagle się zrozumiało. Otóż owe literki oznaczają „oczekuję was“.

Generał Cartier — o niego tu bowiem chodzi — rozpoczął swoje prace w dziedzinie szyfru jeszcze w r 1900 w komisji kryptograficznej, której był sekretarzem. W r. 1904 został przydzielony do sztabu głównego, a w r. 1912 do oddziału radjotelegraficznego w Londynie. Podczas wojny był szefem służby szyfrowej. Po wojnie przewodniczył pracom komisji kryptograficznej.

— Panie generale, chciałbym pana poprosić o kilka wyjaśnień, dotyczących kryptografji. Ostatnio we Francji mówiono bardzo dużo w związku z Kagulardami o szyfrach i piśmie ajemnem. Zadaję więc pierwszej pytanie. Kiedy powstały pierwsze systemy tajnego pisma?

— W czasach Lacedemończyków, którzy wynaleźli „scytalę“. Było to pismo na specjalnym materjale, nawijanym następnie na kawałek drzewa, które można było odczytać tylko wtedy, gdy wiedziało się, w jaki sposób pismo zostało nawinięte. Podobno równocześnie znane były jakieś sposoby pierwotnego szyfru petijopji. Następnie spotykamy się z szyfrem za czasów Juljusza Cezara, który sam wymyślił tajemny szyfr. Jego system polegał na tem, że każda litera tekstu została zastępowana przez literę, która następowała po niej w alfabecie na czwartem miejscu. Przypuśćmy naprzykład, że chodziło o napisanie „bon jour“.

Generał napisał na kawałku papieru: FSRNSZV.

B przemieniło się więc na F, O na S, N na R, J na N, O na S, U na Z, R na V.

Były to wszystko jednak sposoby mało skomplikowane. Właściwa kryptografja, to znaczy system szyfrowy, dający pewne zabezpieczenie przed niewtajemniczonymi datuje się od r. 1550, gdy specjalny szyfr wymyślił Cardan. Następnie wynalazcą innego systemu był Blaise de Porta w r. 1563 i Vigenere w r. 1586. Od tego czasu znamy niezliczone warjanty jego systemu, z których największem powodzeniem cieszyły się prace Kerckhoffa w r. 1883 i Valeria w r. 1893. Chcę panu dać przykład, w jaki sposób można przejrzeć nawet bardzo skomplikowane szyfry. Niech pan wymyśli jakieś słowo, które byłoby naszym kluczem.

— A więc niech będzie „Paris“.

A teraz jakiekolwiek zdanie:

— „Je vous attendrai“ (będę was oczekiwać).

Generał uśmiechnął się i wypisał na kartce papieru litery:

EADOTAJSVTRUEI

Ażeby odgadnąć, co te litery znaczą, musimy zastosować do nich klucz. Jeżeli kluczem tym jest słowo „Paris“, zastosujmy go do owego tajemniczego zdania. Przedewszystkiem należy ponumerować litery w owym kluczu zależnie od miejsca, jakie zajmują w alfabecie.

3	1	4	2	5
P	a	r	i	s

Pod literą A w alfabecie wpisuję jedną pod drugą litery E A D. Tę samą operację przeprowadzam pod innemi literami i to w porządku ich kolejności w alfabecie, a więc naprzód pod I następnie pod P, R i S.

W ten sposób tworzy się następująca tabela:

P	a	r	i	s
J	e	v	o	u
S	a	t	t	e
N	d	r	a	i

Niech pan przeczyta teraz kolejno linijka za linijką i zobaczy pan, że utworzyło się zdanie „je vous attendrai“.

Ten prosty system może być naturalnie zmieniany, ażeby utrudnić odcyfrowanie. Tak naprzykład wracając do naszego klucza i owego nieskomplikowanego zdania, możemy podzielić naszą tabelkę na linijki pionowe i w ten sposób otrzymamy grupy: EAD, OTA, JSN, VTR, UEL. Kolejność tych grup ustaliliśmy w kolejności alfabetycznych liter, tworzących nasz klucz Paris, to znaczy w kolejności AIPRS.

W następnej tabelce wypiszmy owe litery w kolejności owych grup, ale w kierunku poziomym. W ten sposób otrzymamy tabelkę następującą:

3	1	4	2	5
P	A	R	I	S
E	A	D	O	T
A	J	S	N	V
T	R	U	E	I

Ażeby otrzymać owe zdanie, konieczną jest rzeczą z tej drugiej tabelki skonstruować naprzód tabelkę pierwszą. Musimy więc naprzód podzielić litery na grupy po trzy i wpisać je pod literami naszego klucza, tak, jak to przedstawia pierwsza tabelka. Osoby, korespondujące z sobą tajemnym szyfrem, mają ustalony klucz. Zazwyczaj na klucz wybierane są słowa, które nic nie oznaczają, które jednak łatwe są do wymówienia, naprzykład „karotalino“ lub coś w tym guście. Oczywiście, jeżeli chodzi o szyfry wojskowe i urzędowe są one zawarowane dodatkowemi trudnościami. Tak więc bardzo często, ażeby odszyfrować jedno pismo, należy znać nie jeden, ale kilka lub kilkanaście kluczów, które zmieniają się co kilkanaście liter. Często nawet zmienia się i kolejność tych kluczów i w ten sposób odcyfrowanie tajemnego pisma komplikuje się. Bardzo często klucze wybierane są z jakichś słowników w ten sposób, że oznaczona jest strona danego słownika i liczba kolejności na tej stronie słowa, stanowiącego klucz.

— Pewien agent niemiecki, nazywał się Arnold, zorganizował w r. 1916 sabotaż Stanów Zjednoczonych, rozpoczynając od Meksyku. W swoich kryptogramach wziął sobie do pomocy francusko-angielski słownik handlowy. Tak więc naprzykład słowo Madryt umieszczone na stronie 120 owego słownika w linijce 52 pisało się pewne jego szyfry: 12052. Ten system mógł być doskonały, gdyby nie to, że w swej bibljotece podręcznej miałem również ów słownik i badając przyłapane depesze owego agenta szybko wpadłem na trop jego klucza. W ten sposób udało mi się odszyfrować depeszę, w której żądał, ażeby Berlin udzielił mu szybko kredytu na 100.000 pesetów.

Inny agent służby sabotażowej użył więcej skomplikowanego systemu, a mianowicie podzielił tekst na t. zw. bigramy, to znaczy grupy po dwie litery. W ten sposób słowo „Marseille“ (Marsylja) stało się AMSRIELLE. Szyfr ten również przyłapaliśmy w naszem biurze. Oto jak wyglądała ta operacja.

Naprzód alfabet normalny.

A B C D E F G H I J K L M N O P Q R S T U V X Y Z

Następował on po alfabecie wypisanym w pewnym porządku, a raczej nieporządku przez owego agenta.

C D R I J S E Z C P L V N B ......

W ten sposób A stało się C, M stało się N, S stało się V.

System ten nie byłby zły, gdyby punkt wyjścia pozostał niewiadomy. Na nieszczęście jednak dla Niemców porucznik Pinvin, który pracował ze mną, wpadł na trop.

Również ciekawe szyfry miałem w swojej praktyce poza szyframi wojennemi. Zdarzało mi się naprzykład, że otrzymywałem do odszyfrowania szyfry kryminalistów, wysyłane przez poszukiwanych przez policję przestępców, albo nawet przez już uwięzionych zbrodniarzy.

Generał Cartier przyczynił się definitywnie do zdemaskowania i uwięzienia słynnego szpiega niemieckiego, tancerki Mata Hari. Przekroczyła ona właśnie granicę pirenejską za legalnym paszportem i została zdemaskowana w chwili, gdy pragnęła podjąć pieniądze w pewnym banku.

Jean Pierre Dorian.

(Tłum. W. Z.)

PRZED BURZĄ PEJZAŻ Z OJCOWA



KRAKOWSKI ZWIERZYNIEC



Godło krakowskiego domu pod „Słoniem" przy ul. Grodzkiej 38.



Godło domu „Pod Pawiem" przy ul. św. Jana 30.

Gdy dzisiaj dumą każdego producenta jest stworzenie serji swych wyrobów, gdy domy, sprzęty domowe, meble, na całe dzielnice miast, a nawet...... człowieka starają się urobić według pewnego schematu, dawniej, za czasów kiedy miano więcej czasu, ale też więcej poczucia indywidualizmu, kładziono, przeciwnie, nacisk na indywidualizowanie każdej rzeczy, która wyszła z pod rąk artysty czy nawet tylko rzemieślnika. Odpowiednikiem maszyny był poszczególny rękodzielnik, wyciskający nawet na zwykłym przedmiocie osobiste piętno: cóż bardziej mogło podlegać tej regule, jak nie dom, w którym człowiek przebywał większość swego życia?

Przechadzając się staremi ulicami Krakowa, Warszawy, czy innych miast polskich lub zagranicznych, uderzają nas liczne godła, umieszczone nad bramami i nadające domowi nietylko odwieczną nazwę, ale też swoisty charakter. Godła te nie były przypadkowe. zazwyczaj dom będący w posiadaniu rodziny kupieckiej związany był też tradycją z pewną gałęzią przemysłu, którą właśnie symbolizowało owo godło nad bramą. Gdy więc w domu znajdowała się winiarnia, widzimy na jej ścianie pęk winogron, np. na ul. Florjańskiej w domu nr 25, słynny pałac hr. Potockich „Pod Baranami" zawdzięcza swą nazwę i, później zresztą odnowione, godło w postaci baranich łbów okoliczności, że, według tradycji znajdowała się tam gospoda, do której spędzano barany na sprzedaż lub na rzeź. Dom ten i godło jego znalazło się nawet na drzeworycie w książce pt. „Rozmowa dwóch baranów o jednej głowie, starych obywatelów krakowskich", wydanej w r. 1587 w drukarni Siebenreychera. Do tej kategorji godeł kupieckich należałoby zaliczyć również raka na domu przy ul. Szpitalnej 7 godło „Pod gruszką" na tejże ulicy pod liczbą 1, dom „Pod beczką" na ul. Sławkowskiej L. 14, dom „Pod karpiem" na Rynku L. 10, należący do znanej patrycjuszowskiej rodziny Laskiewiczów i wiele innych .Gdy do Polski zaczęto sprowadzać coraz to więcej towarów korzennych, przybywających z dalekich krajów, nieznanych ogółowi ludności, a identyfikowanych z wyobrażeniem dzikich i egzotycznych zwierząt i mieszkańców, odbiło się to również na godłach ówczesnych domów. Oto mamy znany w Krakowie dom „Pod murzynami", posiadający na rogu ciekawy emblemat, przedstawiających dwóch murzynów, trzymających, niczem Pomona, kosz z owocami, jak róg obfitości. Figury te pochodzą z końca XVII lub raczej pocz. XVIII wieku, a symbolizują owe dalekie kraje, z których przybywały te niecodziennie i egzotyczne towary. Wypada zresztą zaznaczyć, że korzenie te sprzedawano w aptece nie zaś, jak dziś w t. zw. składzie korzennym. Wiemy z aktów krakowskich, że w domu tym rezydowała apteka, której właścicielem był w r. 1564 Szymon, aptekarz. Inna apteka, na ul. Grodzkiej L .32, miała za godło słonia i nosiła nazwę domu „pod elefanty" w r. 1647 należała do aptekarza królewskiego Bonifacego Cantelli. Również w domu oznaczonym godłem nosorożca na ul. Grodzkiej L. 31 znajdowała się zapewne apteka.

Oczywiście, że wiele takich godeł zawdzięczało swe istnienie osobistym sympatjom właściciela domu, upodobaniom, które chciał tem czy innem zwierzęciem wyrazić. Trzeba pamiętać o tem, że ludzie średniowiecza a nawet renesansu odznaczali się zamiłowaniem w symbolistyce, znajomością jej i wiele dziś niezrozumiałych godeł tworzyło pewnego rodzaju „słownik" symboliczny W związku z tem wyrobiła się też moda dewiz, którym zazwyczaj towarzyszyły jakieś zwierzęta. Na wspaniałym zamku w Blois, rozszerzonym i wykończonym w dzisiejszej postaci przez króla Franciszka I, figurują nad drzwiami i w wielu miejscach zamku jeżatki, okolone wstążką, na której widnieje dewiza: „pui s'y frotte s'y pique" (Kto się o mnie potrze ten się ukłuje). Ale również inne symbole bądź zwierzęce bądź też wzięte z świata roślinnego itd. były w uzyciu. Łasiczka np. oznaczała zmysłowość, to też nie bez kozery umieścił ją malarz na portrecie pięknej damy, znajdującym się w Muzeum XX. Czartoryskich. Słynny rycerz Bayard używał jako swego osobistego symbolu... nosorożca! Jednym z takich symbolów były kolumny Herkulesa Karola V z dewizą „Nec plus ultra".

Poniżej: Fragment ozdób pałacu „Pod Baranami" na Rynku w Krakowie.



Wspomniane godła były po większej części swobodnie wybrane przez właścicieli domów: stawały się też zczasem zapewne rodzajem „znaku ochronnego" danej firmy, zwłaszcza jeżeli towary jej rozchodziły się po dalekich krajach i chodziło o znaczenie ich. Pewnego rodzaju przyczynkiem do tych dziejów kupieckich, będzie szczegół, że fabrykant słynnych pasów słuckich Paschalis-Jakubowicz, biorąc asumpt z nazwiska, umieszczał na swych fabrykatach baranka, który następnie został mu nadany przez króla jako herb. I tu, w naszym wypadku, działo się podobnie, chociaż dzieje polskich znaków fabrycznych są, o ile mi wiadomo, jeszcze nie opracowane, a istnieją do nich jedynie luźne przyczynki. Nie mogło być jednak inaczej, gdyż na tę właśnie drogę ewolucji wskazuje logika ówczesnych ludzi i ich obyczaje. Były, rzecz prosta, godła ulubione, niejako stałe, inne znów bardziej indywidualne. Często, nietylko w Polsce, spotykamy gwiazdy, lwy, dzwony, klucze itd. i przeważnie w ilości trzech. Takie np. trzy dzwony mamy na domu przy ul. Florjańskiej 25. Na marginesie warto zaznaczyć, że słynny kupiecki dom Medyceuszów, który następnie doszedł do

niezwykłych bogactw i stanowiska wielkich książąt toskańskich, używał na domach godła w postaci krążków czy pieniędzy. Niektórzy autorzy uważali te krążki za pigułki z uwagi na to, że w rodzinie byli aptekarze (medici). Krążki, pieniądze czy pigułki, zmieniły się wkońcu, już w czasie chwały tego domu, w złote kule, które w ilości sześciu figurowały w tarczy herbowej.

Dużą rolę, zwłaszcza w czasach kiedy i szlachta zaczęła w miastach i Krakowie nabywać posiadłości miejskie, zaczęły grać herby rodzinne. Do najciekawszych bezwątpienia tego rodzaju dekoracji bramy należy lew św. Marka na Rynku Głównym 11. Wytłomaczenie zjawienia się tego herbu Wenecji na domu krakowskim należy szukać w fakcie, że wedle tradycji, miała się tam znajdować siedziba posła weneckiego. O ile przypuszczenie to jest oparte na tradycji, o tyle stwierdzić możemy dowodnie, że w domu tym zamieszkiwała już w XVI wieku rodzina weneckiego pochodzenia Atanise. Lew św. Marka występuje zresztą nietylko w Krakowie: spotykamy go również we Lwowie, a mianowicie nad domem w Rynku pod Nr. 14. Poza lwem weneckim, spotykamy na Rynku pod Nr. 14 dom z „konikiem“: należał on swego czasu do Jana Jerzego Kreczyka, kapitana chorągwi rajtarskiej, któremu król Jan III nadał szlachectwo z herbem Starykon. O ile mamy tu do czynienia tylko z częścią herbu, o tyle tenże Starykoń już w pełnej formie ukazuje się na kilku domach: jednym na Rynku, własność obecnie hr. Franciszka Potockiego, gdzie jest herbem aljansowym Wielopolskich i książąt Jabłonowskich, a następnie na domu przy ulicy Jagiellońskiej 11, zwanym „pod starym ogierem“. Również dom przy ul. Szpitalnej zwany „pod Łabędziem“ zawdzięcza swe miano i godło herbowemu Łabędziowi. Bodaj najbardziej historycznym domem z herbowem godłem jest dom „pod toporkiem“ przy ul. Szewskiej 16, który prawdopodobie był własnością panów Tęczyńskich i jako taki zachował ich godło.



Rzeźba przedstawiająca Matkę Boską z Dzieciątkiem patronuje staremu domowi przy ul. Florjańskiej 7.



Godło domu „Podelwie“ przy ul. Grodzkiej 42.

Obok umiłowania symboliki ludzie średniowiecza i renesansu nie byli wolni od zabobonów i tej też stronie ówczesnego charakteru zawdzięczają niektóre domy swe ozdoby, wzięte przeważnie z świata zwierzęcego. Istnieje po dziś dzień przesąd, nakazujący właścicielowi chaty wieszać nad drzwiami zabitego orła, sowę, krogulca, a nawet nietoperza, lub węża. Tak w „maskotkę“ zaopatrzony dom może być pewien, że nic złego nie spotka jego mieszkańców. Z tego więc zabobonu wzięły początek ozdoby w postaci ptaków wspomnianych, jak np. na domu przy ul. Karmelickiej 3, „pod krukiem“, inny, nieistniejący, dom „pod krukami“ na Rynku Głównym itd. O ile jedni posesorzy domów byli zabobonni, o tyle drudzy byli nabożni i ozdabiali dom świętemi figurami, które grały mniej więcej tę rolę, jaką dzisiaj obrazy święte, umieszczane nieraz nad bramą danego domu. Taki dom „pod Matką Boską“ przy ul. Florjańskiej 5, dom „pod Obrazem“ na Rynku Głównym, „pod Opatrznością“ ul. Wiślna 5, ul. św. Jana 9 i inne, dom „pod Świętą Trójcą“ przy ul. Stolarskiej 13 i wiele innych świadczy o nabożności mieszkańców. Ciekawem jest, że dom „Krzysztofory“ przy Rynku Gł. bierze początek swej nazwy od postaci św. Krzysztofa, który zdobił jego ściany Dom ten w XVI w. wspomniany jest jako „lapidea Morstinowska cum signo Cristophori“ czyli „dom kamienny, morsztynowski z znakiem Krzysztofa“. Niestety figurę świętego zdjęto jeszcze w roku 1792, a wiele domów z godłami również znikło z powierzchni ziemi, ustępując miejsca nowym, czynszowym nieraz kamienicom, pozbawionym wszelkiego godła czy ozdoby tak, że z dnia na dzień śledzenie tego pięknego zwyczaju np. w Krakowie staje się coraz to trudniejsze.



Lew wenecki św. Marka na domu przy Rynku



Oto nowoczesne godło domu „Pod Wiewiórką“.

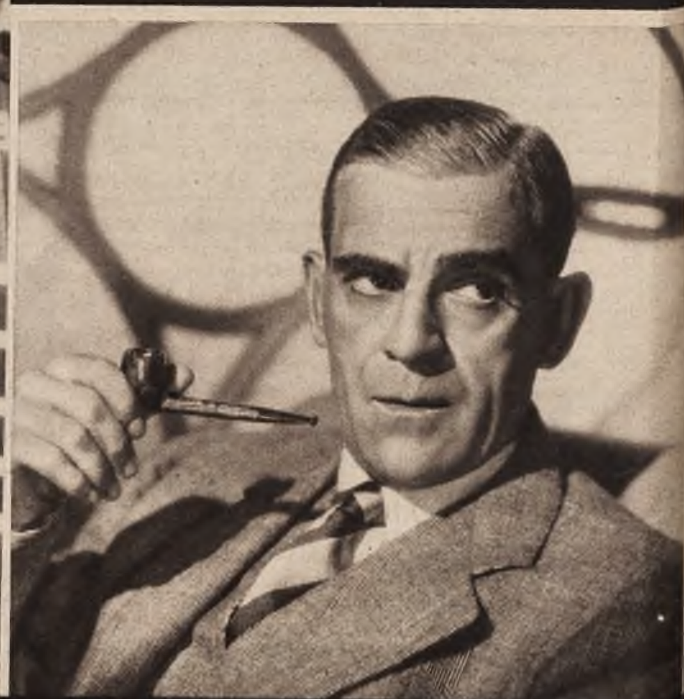
Gdy po swym upadku materjalnym i politycznym Kraków znów począł wracać do poczucia swej pięknej, dawnej tradycji, i gdy zrozumiano wartość skarbów architektury zdobiącej tę dawną stolicę, nowobudujące się domy, idąc za starym zwyczajem, poczęły również, tu i ówdzie przystrajać się w supraporty z godłami. Nie był to wynik obyczajów danej chwili, lecz chęć przystrojenia domu. W ten też sposób zbudowano domy np. przy ul. Karmelickiej zwany „pod pająkiem“, dom „pod osłem“ przy ul. Retoryka 5 i inne. Ostatnio przybyło sporo tych domów starających się dorównać swym starszym kolegom z przeszłości: niestety, stwierdzić to trzeba na niekorzyść gustu dzisiejszego budownictwa czy też... przesadnej oszczędności budujących, wszelkie ozdoby, z małemi wyjątkami, umieszczane ostatnio nad bramami nowych domów urągają nietylko swemu przeznaczeniu, ale też prymitywnemu pojęciu o sztuce Zazwyczaj spotykamy tam jakieś pretensjonalne postacie nagich kobiet, amorków, okrętów itd. Robione z lichego materjału, gipsu, przez przypadkowego artystę, nie są ani ozdobą, ani symbolem, ani pamiątką, pozując na wszystko razem. Istnieją nieliczne wyjątki, jak np. dom „Pod wiewiórką“... I te godła nowożytne dostosować się musiały do ogólnej mody wyrobów seryjnych, i dosyć tandetnych, gdyż nie są ani z kamienia, ani z marmuru czy piaskowca. Wartoby, aby zwrócono na ten szczegół uwagę, gdyż miasto takie jak Kraków, nie może sobie pozwolić na niweczenie brzydkiemi budowlami swego odwiecznego, wspaniałego architektonicznego charakteru.

Jan Maleszewski.



Dwóch murzynów, trzymających kosz z owocam zdobi dom „Pod Etyopy“.









Od lewej: Charles Bickford i Raquelle Torres w filmie „Red Wagon". — Brzydota Borysa Karloffa stała się nieodzownym momentem w tworzeniu niesamowitych charakteryzacyj. — Edward C. Robinson jest wyraźnie brzydkim mężczyzną, niemniej świetnym aktorem. — Wiktor Mc Laglen w filmie „Potępieniec".

BRZYDOTA MOŻE BYĆ ATUTEM...



Clark Gable nie jest wprawdzie brzydkim mężczyzną, ale nie posiada też „klasycznej" urody.

Że brzydcy mężczyźni są kochani w życiu codziennem, o tem nie potrzeba mówić, gdyż na potwierdzenie tego zdania mamy tysiączne przykłady, lecz... dzieje się tak nawet, czy może właśnie dlatego i w filmie. Wprawdzie rzadko: większość amantów filmowych odznacza się wybitną pięknością rysów, są to przeważnie ludzie młodzi, doskonale zbudowani, zgrabni, pełni czaru i uroku, zresztą podobnie, jak i ich partnerki o uderzającej urodzie. Publiczność chodzi do kina, aby znaleźć piękno, którego brak odczuwa wokół siebie. Szuka zarówno estetyki życia, jak i wzniosłości charakterów.

Nieraz zdarzyło się nam spotkać ludzi o odpychającej powierzchowności, a jakże miłych i sympatycznych po bliższem poznaniu, albo nawet brzydali o gołębiem sercu! Odpowiednikami tych ludzi na ekranie są Wallace Beery, Emil Jannings, Edward C. Robinson, Victor Mc Langlen, Spencer Tracy, Charles Bickford i wielu innych.

Brzydcy mężczyźni mają tę przewagę nad wymuskanymi lalusiami, że twarze ich są mocniejsze, bardziej charakterystyczne, a życie wyryło na nich głębsze piętno. Umieją więcej powiedzieć oczyma, grymasem ust — niż młodzi efebi o słodkiem spojrzeniu.

Palmę brzydoty wśród artystów, którzy grywają w filmach o treści erotycznej, powinien chyba otrzymać niezapomniany „Czemp'", „Viva Villa", „Darmozjad" — Wallace Beery. Twarz ta jest zaprzeczeniem, naszego pojęcia o urodzie: Okrągłe oblicze o małych oczkach, ogromnym nosie i „ustach od ucha do ucha". Ale mamy słabość do tego olbrzyma, który ma czasem odruchy dziecka. Popularny również Victor Mc Langlen — to uosobienie męskiej siły...

Wprawdzie niekiedy zdarza się, że ukochanej nie może zdobyć, jak np. pięknej markietanki Claudette Colbert w filmie p. t. „Pod dwiema flagami", lub w „Brutalu", lecz za to szczęście odnajdzie w dzielnej matce chłopca, z którym tak serdecznie się zaprzyjaźnił.

Frapującą twarz Edwarda C. Robinsona, bohatera filmu „Całe miasto o tem mówi" chyba trudno zaliczyć do pięknych. A jednak gra on także rolę mężczyzn kochanych. Spencer Tracy był partnerem słodkiej Sylwji Sydney we wstrząsającym dramacie: „Jestem niewinny". Jego również nie można nazwać przystojnym. Wysuwa się on jednak na czoło artystów, dzięki szczerej, bezpośredniej grze.

Nawet „boska" Greta Garbo w „Annie Christie" miała wybitnie... brzydkiego partnera — Charles Bickforda.

Nie potrzeba chyba rozpisywać się o kunszcie aktorskim Emila Janningsa. — Pamiętamy go, jako zakochanego nauczyciela w pięknej Loli-Loli — Marlenie Dietrich w „Niebieskim Anile". Jeszcze dawniej uwodziła go na srebrnym ekranie przedwcześnie zgasła Lya de Putti. Perypetje sercowe brzydkich mężczyzn przypominają maksymę: „Amour omnia vincit"!

K. D.-K.



Również Spencer Tracy nie grzeszy urodą mimo to jednak posiada wiele wielbicielek.



W kole: „As" wszystkich brzydalów filmowych Wallace Beery z swą partnerką Jean Harlow w filmie „Obiad o ósmej".

BIBLJOTEKI NA • KOŁACH



Jedną z charakterystycznych cech współczesności jest m. in. zanik żądzy posiadania książki na wyłączną własność. Obecnie kupuje się książki coraz rzadziej dla siebie samego, natomiast pożycza się je z publicznej wypożyczalni, w standaryzowanej oprawie, z numerem porządkowym na grzbiecie i z pieczątką nic przypominającą w niczem artystycznych „Ex librisów" i to na krótki regulaminem określony czas, aby rozstać się z nią potem bez żalu. Na szczęście istnieje jeszcze wszędzie pewien „klan" miłośników książki „bibljofilów" — których, niestety, szeregi coraz bardziej się kurczą. Dla tych niezmordowanych poszukiwaczy „białych kruków", rzadkich wydań, unikatów, efemeryd, niezwykłych, pod względem typograficznym, dzieł, antyków itp., największą radością, z niczem nieporównaną, jest zdobycie jakiegoś „rarytasu" bibljofilskiego, za które nie szczędzą grosza, aby je móc mieć w swym księgozbiorze, przeczytać i zakolekcjonować. Nie ulega wątpliwości, że ta „bibljomanja" jest szlachetniejszą pasją od np. filatelistyki, której znaczenia nie myślę przez to umniejszać, jako również godziwego kolekcjonerstwa, godziwszego — w każdym razie — od zbierania lasek, fajek lub korków od szampana.

Dla bibljofilów komponują artyści-graficy, inspirowani przez samych miłośników książki, specjalne exlibrisy, introligatorzy niezwykle artystyczne oprawy z najprzedniejszej skóry, z pięknemi tłoczeniami i złoceniami.

Dla bibljofilów wreszcie istnieją istne „Eldorada" książek, specjalne dzielnice antykwarskie w wielkich miastach Europy, jak w Londynie, Paryżu, Rzymie itd., gdzie można grzebać dowoli pośród rozłożonych przedem książek, pism, drzeworytów i miedziorytów.

Największą taką metropolją bibljofilską jest w Londynie bezwątpienia ulica Charing Cross-Road, w mglistej dzielnicy Soho (gdzie roi się również od handlarzy futer, herbaty i aut). Tam to wznoszą się istne mury, utworzone przez grzbiety książek ze wszystkich wieków od wynalezienia czarnej sztuki drukarskiej począwszy, stare foljały oprawne w świńską skórę. Kolekcjonerstwo książek jest również sportem w Anglji, jak każdy inny sport. Na Charing-Cross-Road dominują książki, ale obok nich roi się od przeróżnych sztychów, drzeworytów, od pożółkłych nut, a nawet od płyt gramofonowych. — Każdy z antykwarjuszy londyńskich ma swą specjalność. Są więc specjaliści od sztuki, literatury, historji sztuki, monografji artystycznych i literackich, jak również specjaliści od pism artystycznych, fotograficznych, filmowych, architektonicznych i to pism z całego świata, które kiedykolwiek i gdziekolwiek ujrzały światło dnia.

Wszystkie rarytasy, unikaty a przedewszystkiem efemerydy, jętki — jednodniówki, które ukazały się przed laty i zakończyły swój żywot po pierwszym i zarazem ostatnim dla siebie numerze. Całe roczniki pism z przed laty, których nawet dotyczący fachowiec-specjalista nie zna choćby z tytułu — przechodzą przez chciwe ręce amatorów zapomnianych pism i perjodyków. — Wszak w tych pismach umieszczali swe artykuły nieraz wielcy pisarze! Czyż mają zatem pozostać zakurzone w zapomnieniu? Dla ogółu tak! ale nie dla amatora. Ten triumfuje, jeśli uda mu się złapać taki komplet zapomnianych, nawet z tytułu, pism lub jakąś jętkę-jednodniówkę.

Jednym z najbardziej znanych antykwarjuszy londyńskich jest Włoch Panzetti. Ileż bezpańskich książek widzi się tutaj, książek z wykreślonemi i wytartemi podpisami. Są to istne globtrotterki, które wędrują z kraju do kraju. U największego księgarza Empire, u Foyle'a leży ponad dwa miljony książek, a więc prawdziwy „a small British Museum'.' które czekają na bibljofilów. Z całego świata ciągną oni do Foyle'a w poszukiwaniu jakiegoś białego kruka. Cała boczna uliczka Charing-Cross'u należy do samego Foyle'a. W tem to jego „mieście książek" są specjalne działy literatury, specjalne galerje obrazów i wypożyczalnie wielojęzycznych książek. Oprócz tego Foyle ma skład przestarzałych niemodnych już płyt jazzowych, które tu gromadzi się również dla amatorów.

Buszujący bibljofile na Charing-Cross-Road oddychają ciężkim zapachem oprawnych w ciemno-zieloną skórę foljałów. U Foley'a można oglądać z całym pietyzmem „białe" wydanie (oprawne w świńską skórę) dzieł Oskara Wilde'a. Niestety cena aż nazbyt wysoka, nawet dla zamożnego bibljofila, bo kosztuje niemal tyle, co auto. Ale za to już za dwa szylingi można dostać kapitalną i nigdy niestarzejącą się „Sentimental Journey" (Podróż sentymentalną) Sterna z oryginalnemi sztychami.

W Paryżu grzebanie się w książkach łączy się z jedną z najrozkoszniejszych przechadzek na zachodzie. — Na Rive Gauche", wzdłuż brzegu Sekwany, wędruje się kilometrami przed szeroko rozłożonemi skrzynkami bukinistów. Jest to jedyny w swoim rodzaju sztafaż, wymarzony dla każdego prawdziwego impresjonisty, choćby nie był nawet malarzem. Na srebrno szarych nurtach Sekwany ziewają znudzone swą bezczynnością stateczki. Pogrążeni w głębokich medytacjach wędkarze, na których natykasz się co krok, marzą o... rekinie, złapanym na wędkę. Dzieci krzyczą, mamy chichoczą a bezrobotni, leżąc pokotem lub siedząc tuż nad Sekwaną, plują z determinacją do rzeki. Miljony książek, pism, czasopism, stare manuskrypty rozłożone w skrzynkach, użyczają specjalnego charakteru temu pejzażowi.

Bukiniści nie narzucają się nigdy ze swojemi książkami, ale nie mają nic przeciwko temu, jeśli przerzucasz je, „bez obligu", a nawet są zadowoleni z tego, zwłaszcza, jeżeli czynisz to z „chwytem" znawcy, który wskazuje na to, że czytałeś np. Balzaka i Zolę i znasz sztychy Daumiera.

Wogóle dziwnego nabożeństwa ludźmi są ci bukiniści. Nawet w tej tak romantycznej dzielnicy studentów wszystkich ras i narodowości, malarzy i wszelakiej artystycznej cyganerji, zwracają oni uwagę na siebie. Wysoko sklepione czoło, niedbale odrzucona grzywa artystyczna, no i przedewszystkiem ręce, ręce artysty o niezwykłej „epidermie", które ze zręcznością ekwilibrysty manewrują książkami. Na niektórych z tych twarzy, o przygasłem spojrzeniu, odkryć można ślady dawnego genjuszu. Może niejeden z nich był przed wojną utalentowanym lirykiem, inny z nich to znów zapewne skrachowany uczony lub żelazny słuchacz „belles lettres".

Cały świat jest dosłownie klientem tych bukinistów. Anglicy, Niemcy i Polacy grzebią w poszukiwaniu rzadkich egzemplarzy klasyków francuskich, które można tu nabyć za grosze, a jeśli ma ktoś szczęście, to wpadnie mu w ręce wielotomowa historja Francji z pięknemi staremi sztychami z podpisem Maupassanta lub innego pisarza z końca XIX wieku.

Rozumie się, że w wielu skrzynkach są towary mało wartościowe, poprostu makulatura, tandeta, obok której tubylcy przechodzą obojętnie, podobnie jak obok ofiarowujących tanią pornografję, na którą znów rzucają się chciwie etranżerzy, pozwalając sobie wyciągnąć za nią nieraz duże pieniądze.

Innem miastem książek jest Berlin. Tam niema właściwie dzielnicy, jak w Paryżu i w Londynie. Zamiast takiej „bibljopolji" są... wózki z książkami, od których roi się w całem wielkiem mieście, co — obok kiosków z papierosami, gazetami i... kiełbaskami — nadaje specjalnego charakteru ulicy. Najbardziej ożywiony handel staremi książkami koncentruje się w okolicy uniwersytetu i bibljotek uniwersyteckich. A w wózkach tych piętrzą się, obok różnej makulatury, „Schund-literatury", także całe półki klasyków ze złoconemi grzbietami i encyklopedje. Tylko nieraz, ale rzadko, trafi się wysprzedaż jakiegoś prywatnego księgozbioru, a to z powodu śmierci lub zubożenia właściciela i wówczas można okazyjnie i tanio zaopatrzyć się w wartościowe dzieła naukowe i beletrystyczne, zwłaszcza z „weimarskiej" epoki, których napróżno byś szukał w księgarniach berlińskich, jako iż figurują na indeksie „librorum prohibitorum" jako niezgodne z obowiązującym reżimem.

Habent sua fata libelli!

T. B.

Drogi kołowe nie od dziś są jednym z najważniejszych objawów cywilizacji ludzkiej. W dążeniu do opanowania globu ziemskiego najbardziej pomocnemi okazały się środki komunikacyjne. Z dawien dawna istniały więc drogi zbudowane dla celów strategicznych. Pod tym względem celowali Rzymianie, którzy budowę dróg doprowadzili do perfekcji. Rozległe cesarstwo rzymskie przecinały liczne drogi wzdłuż i wszerz i im to w znacznej mierze zawdzięczali Rzymianie swoją władzę nad tak znacznem terytorjum.

Nietylko celom wojskowym służyła droga. Często budowano drogi dla celów religijnych, sportowych i kulturalnych. Drogi takie, któremi kilka razy rocznie posuwały się masy ludu ku centrom kultu religijnego, sławnym miejscom igrzysk lub środowiskom

Oto wspaniała autostrada niemiecka. Fot. Atlantic.



ASFALTOWE ARTERJE



Polskie szosy dalekie są jeszcze od idealnych zachodnio-europejskich arteryj komunikacyjnych.



Pięknie brukowana droga pod Katowicami. Fot. Czesław Datka — Katowice.



Niemiecka „Reichsautobahn" pod Heidelberglem należy do autostrad zbudowanych za reżimu hitlerowskiego.

sztuki, znajdowały się w krajach położonych nad morzem Śródziemnem w Egipcie, Palestynie i Grecji.

O znaczeniu gospodarczem sieci drogowej rozwodzić się chyba nie potrzeba. Jasne jest dla każdego, że wymiana towarów wymaga przedewszystkiem dróg. — W wiekach średnich istniały słynne szlaki handlowe, jak np. szlak bałtycko-śródziemnomorski, którym ciągnęli kupcy z krajów południowych ku wodom Bałtyku i odwrotnie. Handel bursztynem bałtyckim odgrywał wówczas niepoślednią rolę. Prostopadle do tegoż szlaku ciągnęła się trasa zachodnio - wschodnia, wzdłuż której odbywała się wymiana egzotycznych bogactw Wschodu na wytwory rzemiosła i przemysłu zachodnio-europejskiego. Handel nie może istnieć bez dróg. Z tego też korzystali dwnieja często władcy terenów, którymi przebiegały ważniejsze drogi handlowe, nakładając rozmaite ciężary na kupców wędrownych, z drogi tej korzystających. Kiedy w stuleciu XIX przemysł dzięki rozmaitym technicznym wynalazkom rozwinął się w niespotykanych dawniej rozmiarach, musiał nastać przewrót i pod względem drogowym. Dawniejsza komunikacja drogowa, posługująca się głównie zwierzętami pociągowemi, nie mogła wystarczyć. Wynalazek kolei żelaznych i ich rozpowszechnienie na świecie stworzył rodzaj drogi, jakiego nie znała ludzkość dawniejsza. Kolej żelazna objęła też wszystkie funkcje dawniejszej drogi, łącząc centra kultury i stolice z zapadłą prowincją. Zdawało się, że dawna odwieczna droga kołowa straci zupełnie swoje znaczenie, służąc jedynie do komunikacji między miasteczkami a wsiami okolicznemi. Rządy państw uropejskich zrzucały ciężar utrzymania dróg na mniejsze jednostki terytorjalne, na kraje, powiaty i gminy, same troszcząc się jedynie o najgłówniejsze szlaki, przedewszystkiem ze względów wojskowych.

Zupełnie niespodziewanie skończyła się szybko rola Kopciuszka — drogi kołowej. Szosa nowoczesna stała się znowu jednym z najważniejszych czynników gospodarki i dzisiejszego ustroju społecznego, skoro tylko wynaleziono nowy wspaniały środek komunikacyjny: samochód. Od tej chwili samochód stał się najważniejszym czynnikiem rozwojowym drogi kołowej. Dobra droga i samochód to para, która nierozerwalnie jest ze sobą złączona, to też dobra droga jest najlepszą propagandą automobilizmu.

Nie wszędzie przebiegała historja powstania nowoczesnej drogi samochodowej w sposób jednakowy. Miały tu wielki wpływ warunki lokalne, a więc przedewszystkiem terenowo-geograficzne oraz historyczno-gospodarcze. Na kontynencie amerykańskim, gdzie przed powstaniem ruchu samochodowego nie było właściwie sieci drogowej w znaczeniu nowoczesnem, ale także i linje kolejowe były nieliczne i niewystarczające, odrazu idea samochodu zdobyła sobie licznych zwolenników. Tam też jesteśmy świadkami równoległego rozwoju automobilizmu i dróg nowoczesnych, budowanych odrazu z punktu widzenia użytkowości samochodowej. W krajach takich jak Francja i Anglja,

gdzie zdawien dawna w znacznej mierze jeszcze z czasów rzymskich istniała znakomicie utrzymana sieć drogowa przed powstaniem samochodów, nawiązano z chwilą rozpowszechnienia się automobilizmu do dawnych tradycyj, ulepszając tylko istniejące drogi i dostosowując je do potrzeb nowego środka komunikacyjnego. Poza tem francuska sieć drogowa nie jest nastawiona wyłącznie na samochód: drogi przechodzą tam w licznych zakrętach przez wsie i miasteczka, będąc organicznym łącznikiem poszczególnych miejscowości z centrum całego życia francuskiego, tj. z Paryżem.

Zupełnie inaczej wyglądały sprawy w Rzeszy niemieckiej. Drogi były tu przeważnie w rękach samorządu, drobnych nieraz kraików i mniejszych jednostek administracyjnych. Nad całym krajem dominowała wspaniała sieć kolejowa. Zarząd kolei niemieckich widział przez długi czas w młodym ruchu samochodowym niebezpiecznego konkurenta, który kosztem ogółnym zamierzał stanąć na naczelnem miejscu. Zarzucano ruchowi samochodowemu, że korzysta z dróg i urządzeń nie przez siebie zbudowanych i utrzymywanych z podatków ogółu obywateli, podczas gdy koleje same muszą ponosić koszta budowy i utrzymywania toru. Pod tym względem nastał zwrot w ostatnich kilkunastu latach. Zrozumiano, że ruchu samochodowego nie da się powstrzymać, że jest on dzisiaj niezbędną koniecznością i jedną z najważniejszych funkcyj nowoczesnego organizmu państwowego. Wobec tego wystąpiła druga skrajność: ruch samochodowy stał się czemś, zasługującem na najwyższe poparcie ogółu obywateli i administracji państwowej, a kupno samochodu stało się poniekąd aktem patrjotyzmu. Rzecz jasna, że w sprawie tej decydowały względy zarówno gospodarcze, jak i społeczne. Chodziło przecież o zatrudnienie licznej rzeszy bezrobotnych, no i „last but not least", dużą rolę odgrywały względy wojskowe.



Budowanie autostrad górskich napotyka na duże trudności techniczne, są one jednak bardziej konieczne, jak na płaskim terenie.

Skoro samochód tak „zaawansował", to rzecz jasna, musiała także „zaawansować" drog samochodowa. Nie mogła już wystarczyć dotychczasowa droga kołowa. Logiczną konsekwencją była więc budowa autostrad, tj. szos idealnie dostosowanych do wymogów ruchu samochodowego, a więc prostych, szerokich i płaskich, ciągnących się zupełnie niezależnie od leżących po drodze wsi i miasteczek, ba, wprost przeciwnie unikających zetknięcia się z niemi. W Niemczech buduje się autostrady w postaci dwu równoległych torów, każdy o szerokości 7.5 m. Oba te tory przedzielone są pasem zieleni o szerokości 3.5 m do 6 m i ograniczone z boków pasmami asfaltowemi o szerokości 1 m. Na torze o szerokości 7.5 m mogą się wygodnie mieścić obok siebie dwa samochody. Każdy z tych torów przeznaczony jest dla ruchu w jednym kierunku. Niemcy planują budowę 7.000 km takich autostrad kosztem 4 miljardów marek. Na 1 stycznia 1938 ponad 4000 km było już gotowych. Nawierzchnia na tych autostradach jest betonowa, albowiem surowce do tego znajdują się wszystkie w kraju. Kilka procent zaledwie jest szos asfaltowych. Grubość nawierzchni betonowej wynosi 20 cm.

Takie autostrady, które wcześniej jeszcze powstały we Włoszech, ale budowane przez przedsiębiorców prywatnych, zmieniły zupełnie pojęcie drogi kołowej. Autostrada jest to coś zupełnie samoistnego, niczem prawie nie przypominającego dawniejszej drogi, a raczej podobnego do linji kolejowej. Autostrada wymaga swoich specjalnych urządzeń pomocniczych, podobnie jak kolej żelazna. Muszą więc istnieć na autostradzie dość często położone przystanki, dające możność nietylko uzupełnienia zapasów paliwa, naprawy uszkodzeń i parkowania, ale także zmiany służby kierowców, itd.

Mimo tych plusów autostrady szereg krajów w Europie, jak np. Francja odnosi się negatywnie do budowy autostrad, które są niesłychanie kosztowne (koszt 1 km wynosi przeszło miljon złotych, ostatnio mówią już tylko o pół miljonie zł.), a korzyści z nich są zbyt jednostronne. W Polsce przeważa też opinja, że powinniśmy raczej budować dobre szosy kołowe, dobrze utrzymywane, aniżeli luksusowe, przeznaczone wyłącznie dla samochodów autostrady, na które zresztą nas nie stać w obecnej chwili.

Inż. J. Anisfeld.

P M

Wszystko mija! I platynowy kolor włosów też już się kończy. Amerykański fryzjer Carlos Valetino po kilku latach prób wynatach prób wynalazł nowy odcień włosów o poetycznej nazwie „flamme de champagne" Coś pomiędzy złotem a miedzią. Nawiasem dodam, że kolor rudy zawsze miał powodzenie i swego czasu pewien właściciel niemieckiego dużego biura pośrednictwa małżeństw powiedział w wywiadzie, że właśnie ten kolor jest najwięcej poszukiwany, a statystycy, którzy badali tę sprawę, stwierdzili, że kobiety rude są jakoby nietylko czarujące, ale i żywe i inteligentne. Film zdaje się to potwierdzać, bo takie rude gwiazdy jak Hepburn, Myrna Loy, Ginger Rogers cieszyły się przecież wielkiem powodzeniem.

Różne są na świecie przedsiębiorstwa. W New Yorku jest n. p. firma pod nazwą „Famous Names" (Sławne Nazwiska), zajmuje się sprzedawaniem nazwisk sławnych aktorek na cele reklamowe kosmetyków itd. Taka gwiazda dostaje za zaświadczenie, że zawdzięcza swą urodę kremowi X tyle a tyle dolarów — zwykle w granicach dol. 100—500, a producent płaci znacznie więcej firmie wypożyczającej nazwisko, przyczem cena zależy nietylko od sławy gwiazdy, ale i od pisma, w którem ma się to ogłoszenie pokazać.

To, że na ogłoszeniach pończoch widujemy śliczne nóżki, to jest naturalne, ale jak to się robi, że pończochy na tych zdjęciach tak cudownie leżą? Nic prostszego! Poprostu model fotografowany jest z nóżkami, podniesionemi do góry — n. p. leżąc na tapczanie. Potem fotografję przewraca się do normalnego położenia i efekt osiągnięty.

Mechanizacja często połączona jest z hałasem (choć im doskonalsza maszyna, tem ciszej pracuje!) N. p. przykrym jest stukot maszyn do pisania w biurach. Zainteresowano się tem w Ameryce i inżynierowie firmy Remington wzięli się do tej sprawy z ołówkiem i czułemi aparatami w ręku. Wyniki były dość sensacyjne. Oto przy zastosowaniu w biurze maszyny cichopiszącej „Noiseless" energja maszynistki zużywała się o 19 proc. mniej, ilość pracy wykonywanej wzrosła wobec napisanych na maszynach głośnych w ciągu 7,5 godzin 1311 wierszy do 1480 napisanych na cichej, a więc o 13 proc. Licząc, że pensja maszynistki wynosi 85 proc. wydatków biura korespondencyjnego dużej fabryki, obliczono, że koszt maszyny Noiseless nie odgrywa roli wobec dużej nadwyżki pracy. Intensywność dźwięku maszyny głośnej w stosunku do cichej ustalono jako 16 razy większą. Ciekawem jest, jak się ją mierzy. Dzieje się to zapomocą specjalnej kamery akustycznej, której mikrofon chwyta dźwięk, przetwarza go na falowanie prądu elektrycznego odpowiednie do wibracji dźwięku. Prąd ten zkolei przechodzi przez cieniutkie druciki i wprowadza w drganie wpoprzek umocowane malutkie zwierciadełko. Na lusterko pada promień światła, odbija się od niego i pada, jako drgający punkt światła, na przesuwającą się taśmę filmową. Taśma ta po wywołaniu, daje linję o nierównościach dokładnie odpowiadających sile i rodzajowi rejestrowanego hałasu. Dodam, że podobnemi aparatami mierzono w metropoljach zachodu hałasy uliczne, a wyniki były tak straszne (t. zn. naocznie przekonano się, jak wielki jest hałas dużego miasta), że one były powodem wydawania zakazów sygnalizowania samochodem itd.

Łodzie podwodne niekoniecznie muszą służyć celom wojennym. Dość dawno już jeden przedsiębiorczy Amerykanin otworzył restaurację „Chez Laporte". Jest to wyranżerowana łódź podwodna marynarki USA, którą zakupił, wprawił duże szyby i codzień o godz. 11 wieczór odbija od portu, odpływa na odległość jakiej mili od brzegu i tam daje możność spożycia kolacji (odpowiednie ceny) wśród rzęsiście oświetlonej reflektorami fauny i flory podmorskiej. Byli zresztą i tacy (oczywiście amerykańska para), którzy odbyli podróż poślubną w łodzi podwodnej.

Naogół miło jest jeżeli się zyskuje uznanie z kilku stron naraz. Ale nie zawsze! Malarz de Niles zdziwił się niewymownie, gdy poczta mu jednocześnie przyniosła z Liverpoolu i Monachjum złoty medal za jego obraz, bo obraz wisi w Paryżu! Z faktu tego należy wyciągnąć wnioski: pierwszy, że krytycy sztuki są czasem zgodni w swych sądach, oraz, że bywają zdolni fałszerze!

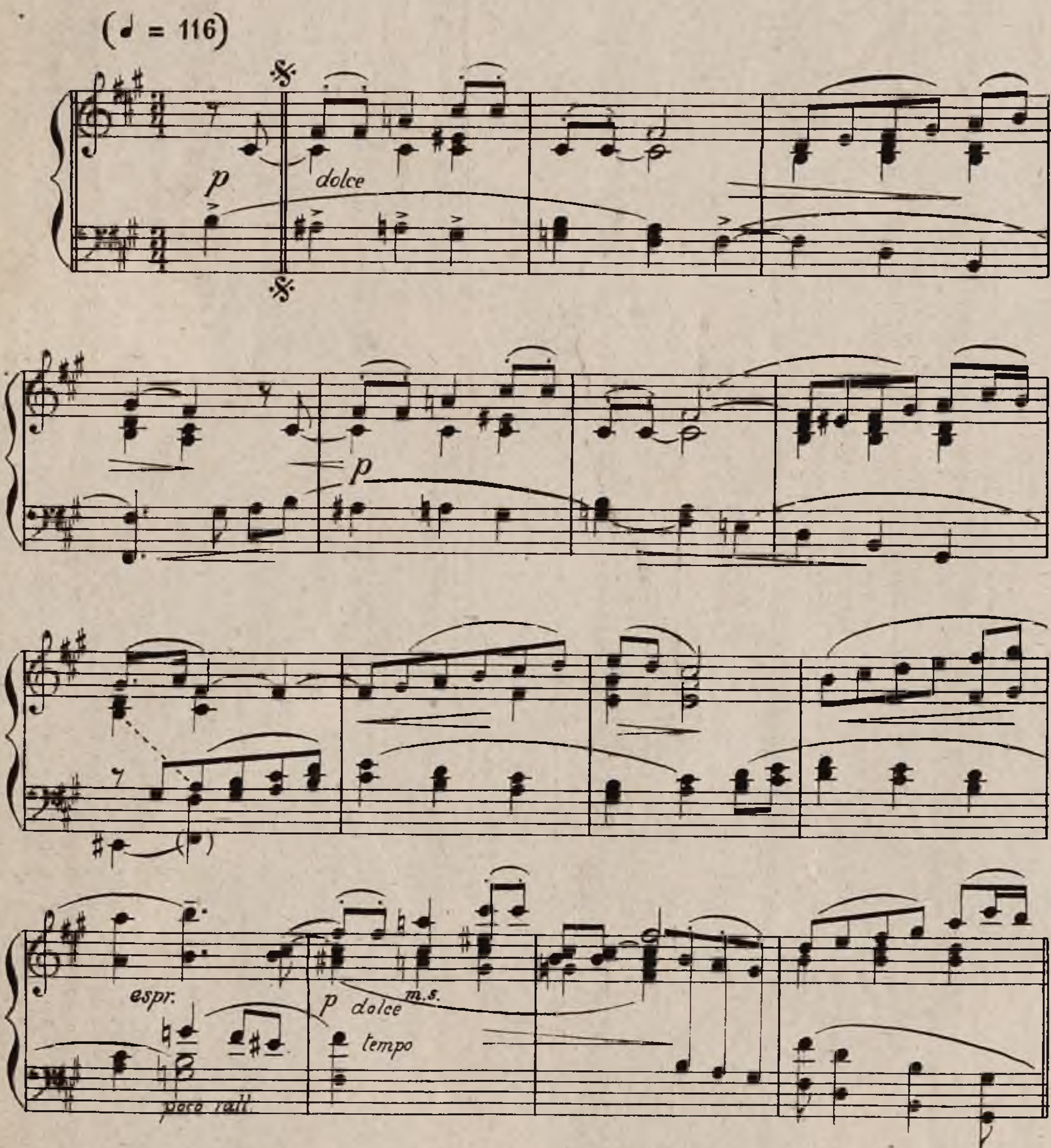
J. D.-L.

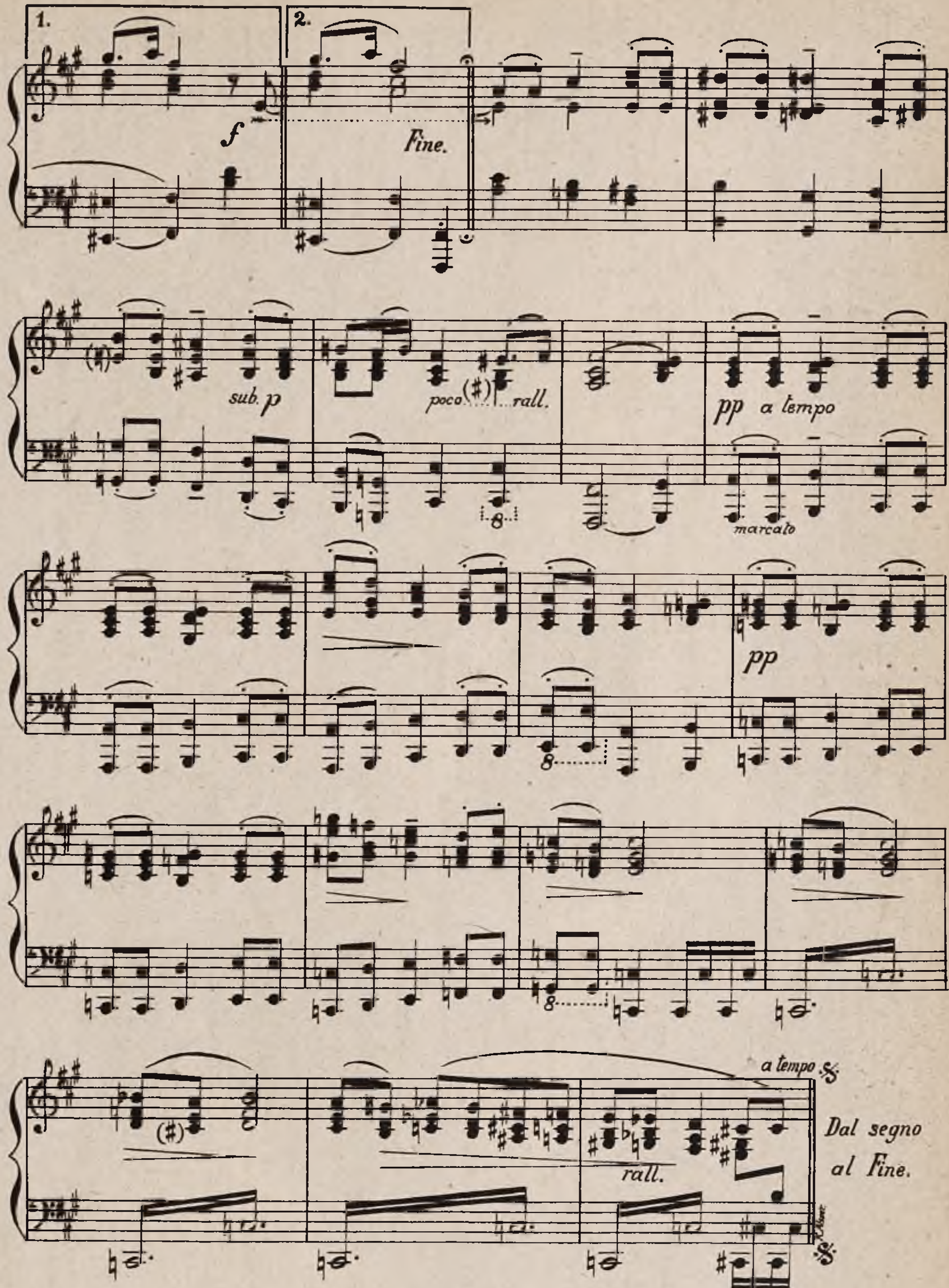


MENUET

(Z WKŁADKI BALETOWEJ DO KOMEDJI MOLIERA „POCIESZNE WYKWINTNISIE".)

ALEKSANDER FRĄCZKIEWICZ





MŁYN HREHORA

SZKIC

ZYGMUNT JORDAN

Wśród olszowych zagaji, gdzie rzeka zwęża swe koryto i nagłym skrętem zawraca na północ, ku szerokim rozlewiskom Prypeci, ukryty w gąszczu dzikich bzów i sitowia, zagrodził czarnym wodom drogę młyn Hrehora.

Poszarpany, dziurawy dach zwisnął nad wodą, jakby resztki czarnych łat rzucić chciał w nurt i zatrzymać pęd rzeki; nurt kłębi się, bulgocze i grozi intruzowi czarną otchłanią.

Nawpół rozwalony kadłub młyna pochylił się pod ciężarem dachu. Zbutwiałe belki porozłaziły się, tworząc olbrzymie szpary. Wiatr, hulając w jesienne noce, wygrywa w tych szparach dzikie melodje, skowyczy i wzdycha; czasem uderzy mocniej i wtedy rozlegają się jakieś trzaski i głuche stękania.

Biada człowiekowi, jeśli w takiej chwili znajdzie się w pobliżu; chwyci go strach obłędny, włosy zjeżą się na głowie, a nogi poniosą przed siebie. Pobiegnie w czarne bagno i przepadnie.

Wielu już tak przepadło; nocna ich droga wypadała zawsze koło Hrehorowego młyna...

Kiedyś, zaraz po wojnie, jeden z okolicznych chłopów chciał zabrać z rudery co zdrowsze drzewo. Podjechał zwieczora wozem na brzeg lasu; konia zostawił na drożynie, a sam przeszedł ścieżką po bagnie ku młynowi. Wyjął jedną belkę ze ściany, przyciągnął do wozu i poszedł po drugą. Przepadł.

O świcie ludzie znaleźli konia z wozem i belkę. Chłopa nie było. Na ostrowiu panowała martwa cisza, tylko od czasu do czasu w odmęcie plusnęła ryba.

Hrehor bronił swego młyna.

Starzy ludzie we wsi pamiętają, jak to było z Hrehorem.

Przybysz, nie wiadomo skąd, zbudował na ostrowiu młyn i osiadł w nim, nie pokazując się we wsi. Nikogo przy sobie nie miał. Ale i nie potrzebował nikogo, bo z mlewem wieś się do niego nie kwapiła. Młyn stał przeważnie cicho, a młynarz całemi dniami siedział bez ruchu na progu i patrzył na rzekę złym wzrokiem. Ten wzrok i trudny dojazd do młyna były przyczyną, że ludzie omijali go z daleka i woleli oddawać zboże do sąsiedniej wsi, gdzie i dojazd był lepszy i młynarz grzeczny. Hrehor pomocnika nie potrzebował. Zresztą i nie znalazłby chętnego.

Kilku gospodarzy, którym bliżej było do Hrehorowego młyna, odwiedzało zrzadka samotnika, oddając po garstce mlewa. Pchała ich więcej ciekawość, niż potrzeba mąki.

Witał ich ponurem skinięciem głowy i w milczeniu odmierzał zboże. Pracę wykonywał sumiennie. Mąka jego była nad podziw cienka i czysta, lepsza, niż od sąsiada. Terminu dotrzymywał.

Aż jednego dnia zachorowała we wsi baba i w parę godzin skonała w okropnych boleściach.

Po ludziach poszła pogłoska, że to z Hrehorowego chleba kolka babę udusiła.

Nie wiadomo, kto tę wieść puścił na wieś; rozeszła się po okolicy, aż doszła jakimś cudem do Hrehora. Stary stał się jeszcze bardziej ponury i gajowemu, który obchodząc las, zajrzał do młyna, aby zapytać o mlewo, z szyderczym grymasem oznajmił, że wie, kto plotkę rozniósł. Gajowy przeląkł się; sam poprzedniego wieczora powtarzał pogłoskę u sąsiadów. Nazajutrz pozostał w domu, a po mlewo posłał szwagra. Hrehor mąkę wydał i szwagrowi powtórzył to samo, co wczoraj gajowemu.

Na wieś padł strach. Ludzie zaczęli obchodzić z daleka młyn, stojący na uboczu, wśród bagien i haszczy. Młyn zamarł w bezruchu. Nikt już nie odważył się nieść mlewa do Hrehora, o którym zaczęły krążyć niesamowite historje. Poczęto badać, skąd tajemniczy młynarz przybył w te strony, dlaczego nigdy do wsi nie zachodził, czemu ma takie ponure i złe oczy...

Nikt jakoś nie umiał na te pytania znaleźć odpowiedzi, ale domysły zaczęły przechodzić w podejrzenia, a podejrzenia w pewność.

Pewność to była, że Hrehor z djabłem trzyma i djabelską mąkę miele. Że tą mąką się żywić musi, bo przecież ani pola nie uprawia, ani robotą w młynie nie zarobi, więc chyba nieczyste praktyki na pustkowiu swojem prowadzi i z tego żyć musi.

Już jesień odarła z liści stojące nad wodą olchy, a szrony spędziły z ugorów i łąk ostatki bydła, gdy jednej nocy listopadowej spłonął młyn w sąsiedniej wsi. Wiatr dął coraz-to z innej strony i ogień rozszerzył się w mgnieniu oka na całe obejście młyńskie. O ratunku nie było mowy. Zamożny młynarz stał się w jednej godzinie nędzarzem.

Wieś zawrzała. Nikt inny nie mógł być sprawcą nieszczęścia, tylko Hrehor. Może sam podpalił, a może złego posłał, aby mu usunął niewygodnego współzawodnika... Znowu domysły i podejrzenia przeszły w pewnik, zwłaszcza, gdy gajowy doniósł, że od kilku dni Hrehor nie ukazał się na progu młyna; widocznie zamknął się i z djabłem paktował, a djabeł — wiadomo — dnia jasnego nie lubi...

Doszedłszy do tego przekonania, ludzie zebrali się u sołtysa, skąd po godzinnej naradzie ruszyli tłumnie w stronę Hrehorowego młyna. Chłopi nieśli kije, sznury i widły, a baby zawziętość i chęć zemsty za wszystkie doznane i nie doznane krzywdy i zgryzoty.

Na czele szedł sołtys i wczorajszy pogorzelec, młynarz. Tłum posuwał się powoli, jak gradowa chmura, w stronę bagien i rzeki.

Ale w miarę, jak zbliżali się do celu, odwaga opuszczała ich, aż wkońcu przystanęli wszyscy na skraju lasu, skąd wąska ścieżka wybiegała na bagno, łącząc las z młyńskiem ostrowiem.

Naprzeciw, wśród gąszczu olszyny, dzikich bzów i łozy, sterczał czarny dach młyna Szum wody dochodził w ciszy jesiennego południa wyraźnie, koło wodne klekotało i skrzypiało miarowo, a wgórze, wysoko kwilił żałośnie jastrząb, zataczając senne koła.

Wokoło panował spokój i pogoda. Tylko czarny dach wyglądał groźnie, jak strzegąca tajemnicy twierdza.

Już strach miał wziąć górę nad gniewem, gdy jedna z bab wybiegła naprzód, niosąc w wyciągniętej ręce medalik na czarnym sznurku.

To poskutkowało. Kilka kobiet zerwało z szyj medaliki i krzyżyki i tłum, podniesiony na duchu ruszył, choć zwolna, na groblę.

Doszli wreszcie do młyna.

Sołtys przezornie pozostał wtyle, a jeden z młodszych chłopów podszedł do drzwi i wetknąwszy głowę w ciemną czeluść wnętrza, zawołał niepewnym głosem:

— Hrehor!

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Hrehor! — krzyknął znowu, tym razem głośniej.

Tłum tymczasem porozłaził się po ostrowiu, wokoło budynku, tworząc grupki, lękliwie spozierając to tu, to tam.

Właśnie z takiej grupy, stojącej nad odmętem, przy kole wodnem, podniósł się nagle przeraźliwy krzyk. Kilkoro ludzi odskoczyło od brzegu i biegło ku miejscu, gdzie stali starsi

Przodem leciała baba z obłędem w oczach, krzycząc przeraźliwie:

— Aaa! Aaa!

Zrobił się popłoch; ten i ów sadził już groblą ku lasowi, wreszcie sołtys wstrzymał uciekających, stanąwszy na ścieżce z rozkrzyżowanemi ramionami. Tłum opamiętał się i stanął. Jeden z chłopców wskazywał ręką rzekę i pobladłemi wargami bełkotał:

— Hrehor.. tam w wodzie...

Młynarz wziął na odwagę i podszedł do brzegu, a za nim sołtys i kilku odważniejszych.

Spojrzeli w wodę.

Czarna otchłań wirowała w miejscu, obracając kilka gałązek i liści. Nie było widać nic nadzwyczajnego Chłopi spojrzeli po sobie, ruszając ramionami i już mieli odejść, gdy wtem ów chłopak pochylił się nad wodą i drżącym głosem wyszeptał:

— O...

W ciemnej toni coś zamajaczyło. Coś dużego szło w górę, kręcąc się i pochylając to w jedną, to w drugą stronę.

Wreszcie z jakimś silniejszym porywem prądu wypłynęła pod samą powierzchnię postać ludzka, olbrzymia i gruba, odziana w barani kożuch. Zakręciła się w miejscu i odwróciła ku patrzącym twarz.

— Hrehor!

A twarz zatrzymała się na chwilę, jakby chciała spojrzeć w zebranych na brzegu ludzi.

Była potwornie nabrzmiała, zielonawa. Na lewym policzku siedział ogromny, czarny rak, szczypcami wparty w oko, przytulony łapczywie do żeru, jakby bronić chciał ostatniej przed zimą zdobyczy.

Wśród ludzi przeszedł jęk przeciągły; stali jak urzeczeni, nie mogąc się ruszyć z miejsca, tylko grozą rozwarte oczy wlepili w topielca.

A Hrehor wpatrywał się chwilę szyderczo jedynem okiem w niedoszłych oprawców, poczem zakręcił się zwolna kilka razy, pochylił się w tę i ową stronę i cał za całem począł schodzić w głąb.

Za chwilę majaczył już tylko zielonawą twarzą w czarnej toni, aż rozpłynął się i zniknął.

Ludzie stali jeszcze chwilę, nie mogąc przemówić słowa. Potem co lękliwsi odrywali się od tłumu i najpierw zwolna, a dalej już biegiem wpadali na groblę i znikali w lesie.

W pół godziny przy młynie nie było już nikogo. Wokoło panowała niczem nie zmącona cisza. Zatrzymany przez kogoś, młyn zamarł w bezruchu. Tylko wysoko, wgórze kwilił żałośliwie jastrząb, zataczając senne, miarowe koła.

* * *

Gdzie rzeka nagłym skrętem zwraca ku północy swój ciemny nurt, w gąszczu olszowych zagaji widnieje do dziś czarny kadłub Hrehorowego młyna.

Wokoło panuje cisza i pustka. Ludzie omijają to miejsce zdaleka. We wsi mówią, że w jesienne południa Hrehor ukazuje się w odmęcie, postoi chwilę w wodzie i chowa się z powrotem w głąb.

I tak jest od wielu lat.

A w młynie djabli mielą ludzkie grzechy. W ciemne listopadowe noce słychać, jak koło wodne szumi i klekoce, a wkoło rozlegają się jęki i westchnienia.

Jest to królestwo dzikich kaczek, gęsi i różnego zwierza.

Ale biada myśliwemu, któryby się odważył wejść o zmroku na ostrów. Nie wróci już z przeklętego miejsca, jak nie wróciło wielu śmiałków.

Hrehor pilnuje swego młyna.

szkoły udziela lekcyj na kilku kursach i w PIST-cie.

Ale obok pedagogicznej, pociąga ją także „karjera' artystyczna. W tej dziedzinie już oddawna zdobywa uznanie i zachętę czołowych pedagogów i krytyków, którzy stwierdzają talent dużej miary i wybitną samodzielną indywidualność twórczą Hanny Szwarzówny. Samodzielność artystyczna i wypracowywanie własnego stylu, to najpiękniejsza cecha jej talentu. Uczenica pedagogów warszawskich i słynnej Mary Wigman, u której brała lekcje w czasie olimpjady tanecznej w Berlinie, nie naśladuje nikogo, nie zamawia najczęściej u nikogo kompozycyj tanecznych. Tworzy sama.

Hanna Schwarzówna nie szuka doraźnego sukcesu, nie walczy o natychmiastowy oddźwięk u publiczności i problematyczne powodzenie, nie schlebia łatwiznom ani artystycznemu snobizmowi. Ma wysoką kulturę estetyczną. Rozumie dobrze, że w prawdziwej sztuce najważniejszą i najcenniejszą jest indywidualność twórcza artysty i wartości jego dzieła.

Idee swe uzewnętrznia artystycznym czynem. Jej dotychczasowe kilkakrotne występy, ostatnio w Teatrze Wielkim na recitalu tanecznym (wraz z Ziutą Buczyńską), przekonały publiczność, że ta młodziutka artystka ma już oryginalne piękne oblicze artystyczne. Ma duży talent, który wspomagany jest miłą i piękną sylwetką, wrodzonym wdziękiem, a przedewszystkiem niesłychaną ambicją artystyczną i wytężającą pracą.

Przed kilku tygodniami Hanna Schwarzówna wyszła zamąż za mgr. Jana Schulza, radcę Min. Spraw Wewn., ale, za zgodą męża, bynajmniej nie zerwie z pracą artystyczną. Przeciwnie rezygnując z pracy pedagogicznej, poświęci się całkowicie tańcowi artystycznemu. Tę wiadomość wielbiciele jej talentu i krytyka, której zależy na kulturze tańca polskiego, przyjmą z prawdziwem zadowoleniem.

W. B-i.



ZE SCEN WARSZAWSKICH:

Hanna Schwarzówna

Od dziecka kocha taniec i kształci się w tym kierunku. Kraków pamięta jej młodociane występy na różnych estradach, a nawet na scenie krakowskiego teatru. Należy wówczas do zespołu Wandy Haburzanki, a rodzice jej (ojciec był znanym i cenionym lekarzem) otaczają troskliwą opieką pięknie zapowiadający się talent. Po maturze gimnazjalnej, wstępuje do głośnej warszawskiej szkoły tańca artystycznego Janiny Mieczyńskiej i w dwa lata kończy tę uczelnię w r. 1937 jako celująca dyplomantka, zdobywając patent pedagoga. W tym kierunku ma zdolności nieprzeciętne, już w czasie studjów wielokrotnie prowadzi zastępczo lekcje za pp. Mieczyńską, Ziutę Buczyńską i Grokego. Po ukończeniu



Hanna Schwarzówna we własnych kompozycjach tanecznych: powyżej w „Kwiecie paproci" (muzyka Kapuścińskiego), na prawo w „Burlesce" (muzyka Bartok'a).

Foto Forbert — Warszawa.



Neseser z przyborami kosmetycznemi, oto jeden z najpotrzebniejszych sprzętów pięknej pani.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

Wargi i kąciki ust

wymagają pielęgnacji

Od lewej: Zbyteczne wąsiki rozjaśnia się przy pomocy wody utlenionej. — Także pumeks może oddać cenne usługi przy usuwaniu zarostu.





Skóra na wargach i wokoło ust jest szczególnie wrażliwa i delikatna. Jakże często przy najzdrowszej cerze tu właśnie powstają jakieś niepożądane pryszczyki, liszaje, czy też zadrażnienia i zaczerwienienia skóry. Jak w całej kosmetyce, tak i tutaj pierwszem przykazaniem jest zachowanie idealnej czystości, zagrożonej bardziej, niż na całej twarzy przy każdem jedzeniu, czy nawet przy myciu zębów, pasta bowiem, pozostająca w porach skóry przy niedokładnem myciu, może spowodować także owe zadrażnienia delikatnego naskórka wokół ust.

Wysnujemy z tych rozważań przykazanie częstszego i dokładniejszego przemywania ust, a to po umyciu zębów, jakoteż po każdem jedzeniu. Najlepiej wykonywać to przy pomocy waty zwilżanej gorącą wodą i przykładanej delikatnie wokoło ust. Wszelkie mocniejsze pocieranie nie jest wskazane, bo jak powtarzamy, naskórek jest tutaj bardzo delikatny i wrażliwy.

W razie skłonności do wyrzutów wokoło ust, dobrze jest dodawać do wody, używanej do przemywania skóry przy pomocy waty, małej ilości boraksu, który woda zmiękcza lub też sody czyszczonej. Składniki te czynią wodę delikatniejszą.

Baczną uwagę trzeba zwracać obok kącików ust także i na drobny odcinek skóry pomiędzy dolną wargą a brodą. Tu również powstają często jakieś wyrzuty skórne, szpecące buzię pięknej pani. Przemywając usta po jedzeniu trzeba i tę partję twarzy odświeżać watą zwilżoną gorącą wodą. Gdyby był w tem miejscu jakiś pryszczyk, to w kwadrans po osuszeniu skóry trzeba go zlekka zwilżyć łagodnym kremem.

Skoro omawiamy usta i wargi, nie możemy pominąć milczeniem górnej wargi, na której jakże często wyrastają całkiem niepotrzebnie mniej lub więcej widoczne wąsiki. Nie można podciągnąć pod tę nazwę delikatnego meszku, który tylko zdobi usta. Natomiast wręcz brzydko wyglądają usta kobiece, ocienione mniejszą lub większą ilością ciemnych, często sztywnych włosków. Jest i na to rada. Kto może sobie na to pozwolić, usunie wąsiki łatwym lecz kosztowniejszym zabiegiem przy pomocy preparatów woskowych. Roztopione, zakłada się je na wargę i pozostawia do zesztywnienia a następnie zrywa szybko, przyczem pozostają na wosku zbyteczne włoski. Po takim zabiegu konieczne jest nałożenie na wargi specjalnego kremu łagodzącego, który przywraca normalny wygląd tak „zoperowanej" skóry. Ale są to zabiegi dość kosztowne, acz najskuteczniejsze.

Domowym środkiem przeciwdziałającym „wąsikom" jest rozjaśnianie ich przy pomocy wody utlenionej. Należy przygotować jej roztwór, dając 10 części zwykłej wody przegotowanej i 1 część wody utlenionej. Tym roztworem zwilżamy przy pomocy waty owłosione miejsce dwa do trzech razy na tydzień. Można również dla intensywniejszego działania dodać do roztworu kilka kropel amoniaku. Włosy jaśnieją i stają się prawie że niewidoczne.

Rozjaśnianie włosów na górnej wardze najlepiej wykonywać w godzinach rannych przy innych zabiegach toaletowych. Inny zabieg stosujemy w podobnym celu przed udaniem się na spoczynek. Mianowicie niszczy się włosy przy pomocy pumeksu, którym po zwilżeniu go wodą naciera się górną wargę, miejsce w miejsce, uważając, aby zbyt silnem tarciem nie wywołać zadrażnienia skóry. Najlepiej zrobić ten zabieg przy demakilażu a przed natłuszczeniem cery odpowiednim kremem na noc. W nocy skóra wypocznie po zabiegu i rano nie pozostają żadne brzydkie ślady, natomiast po jakimś czasie wąsiki znikają zupełnie.

Elwira.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

U PROGU KARJERY ZDOLNEJ ŚPIEWACZKI



Wysoce uzdolniona śpiewaczka (sopran koloraturowy) Barbara Kostrzewska zadebiutowała w ubiegłym sezonie w Operze warszawskiej, zyskując sobie wstępnym bojem sympatję publiczności i uznanie krytyki. Kostrzewska, która jest uczenicą prof. Augusta Dianniego, przeniosła się obecnie do Warszawy, chcąc kontynuować tak dobrze zaczętą karjerę artystyczną.
Fot. „Van Dyck" — Warszawa.

Z PRACOWNI ZNANEGO ARTYSTY

Poniżej:

Zdolny artysta malarz, grafik i ilustrator licznych wydawnictw, a były współpracownik koncernu „IKC", Jan Marcin Szancer, poświęca się w ostatnim czasie twórczości rzeźbiarskiej. Ponadto pracuje on na polu dekoracji wnętrz i w dziedzinie filmowej. Dla pogłębienia swych studjów w tym kierunku, artysta wyjeżdża w najbliższym czasie na dłuższy pobyt zagranicę. J. Szancer rozwija także twórczość literacką, pisząc książki dla dzieci, przez siebie ilustrowane. Na zdjęciu artysta przy pracy nad popiersiem swej żony.



CIEKAWA WYSTAWA W KRAKOWIE

Poniżej:

Wystawa prac uczenic Państwowej Szkoły Żeńskiej odbyła się w Krakowie, budząc wielkie zainteresowanie. Wystawa obejmowała kilka działów, jak: seminarjum gospodarcze, kształcące nauczycielki gospodarstwa domowego, gimnazjum krawieckie i bieliźniarskie, dział hafciarski, dział trykotarstwa ręcznego — a zwłaszcza dział kursów wędrownych, z którego zdjęcie zamieszczamy. Szczególnie bogato w tym dziale był reprezentowany kurs koronkarski w Zakopanem i kursy tkackie w Łososinie Górnej i Mielcu.



SENSACYJNY ROZWÓD



Niezwykłe zainteresowanie wywołały pogłoski o zamierzonym rozwodzie słynnej dziedziczki majątku Woolworthów — Barbary Hutton z jej mężem hr. Haugwitz Reventlow, z powodu różnicy zdań co do wychowania ich synka. Na naszem zdjęciu hr. Reventlow z małżonką podczas zawodów tenisowych w Forest Hills. Fot. Atlantic.

MAŁŻEŃSTWO TENISISTKI

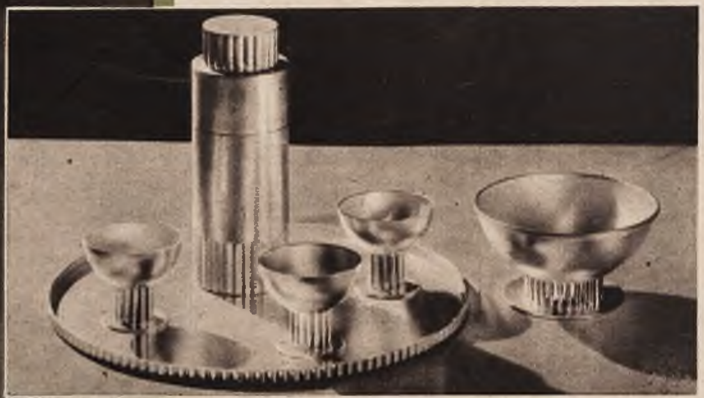


Światowej sławy tenisistka chilijska senorita Anita Lizana wyszła ostatnio zamąż za Szkota mr. Ronalda Angus Taylor Ellis. Małżeństwo sympatycznej tenisistki stało się w Londynie sensacją towarzyską. Na zdjęciu młoda para opuszcza kościół Brompton Oratory w Londynie.
Fot. Wide World.

SZTUKA ZASTAWIANIA STOŁU



Zarówno toalety gości, jak też piękne urządzenie i estetyczne nakrycie stołu tworzą harmonijną całość wytwornego przyjęcia.
Fot. Keystone.



Ciekawie skomponowany serwis cocktailowy z kutego metalu (proj. Julja Keilowa).
Fot. Dorys — Warszawa.

Estetyka zastawy stołowej stanęła na wysokim poziomie z chwilą wprowadzenia porcelany i szkła do najpowszechniejszego użytku. Dziś dostosowanie odpowiedniego typu szkła i porcelany do tła, jakie stanowi sala jadalna z jej urządzeniem lub też taras willowy czy weranda, jest więc tylko sprawą dobrego gustu.

Innej zastawy wymaga pokój umeblowany nowocześnie, a innej stylowa jadalnia lub lekki ogrodowy styl plecionych mebelków. Ustawione na takich stolikach bogate kryształy czy stylowa porcelana, wyglądałyby równie niestosownie, jak tani serwis w jadalni à la Ludwik XVI, lub rokokowa zastawa na szklanym blacie nowoczesnej jajadalni.

Przewrót dokonany niedawno w zakresie tak podstawowego szczegółu, jakim jest na stole jadalnym obrus, wymaga również znajomości operowania zastawą, bo tłem jej stał się odtąd także i szklany czy lustrzany blat stołowy obok pięknie grającej politury szlachetnego drzewa nowoczesnych mebli. Nieobojętny też będzie kształt i materjał, z którego zrobione są widelce, noże itd., jak niemniej zestawianie ze sobą różnych gatunków i stylów porcelany i szkła.

Ludzie, idący również w swych poglądach artystycznych z postępem czasu, powinni wprowadzić do nakrycia stołu nowoczesne akcenty, choćby w postaci pięknych zastaw z kutego metalu (nietylko srebra). Wymagają one oczywiście sharmonizowania z całem nakryciem, stołem, na którym są umieszczone itd.





Od lewej: „Entuzjasta" kanapek na przyjęciu" („Esquire"). — Sztuciec o nowoczesnych formach (proj. Julji Keilowej).
Fot. Dorys — Warszawa.

Zarówno polskie, jak też zagraniczne fabryki porcelany produkują obecnie serwisy w stylu zmodernizowanego rokoka, które zachowując piękne linje „czystego" stylu, są jednak bardziej dostosowane do dzisiejszego gustu.

Gdy już te wszystkie względy zadecydują o zestawieniu stołu na jakieś bardziej oficjalne przyjęcie, trzeba uwzględnić wygodę biesiadników, którzy powinni czuć się przy stole swobodnie. Również i służba, obsługująca gości, nie może przy ciasnocie dość sprawnie wykonywać swych obowiązków.

W niewielkich pokojach jadalnych ratujemy się ustawieniem osobnego stołu dla młodzieży lub rozrzuceniem kilku stolików mniejszych, które w gronie bliskich znajomych są sympatyczną formą przyjęcia.

Jeżeli zastawa ma stanąć na stole z obrusem, warto podłożyć pod nim sukno, nakryte ceratą, a dopiero wtedy przekonamy się, o ile spokojniej i ciszej odbywać się będzie zmienianie nakryć. Trudniej jest nauczyć się tej sztuki, gdy stół nie jest wogóle przykryty obrusem, a zwłaszcza, gdy jest szklany.

Nie byłaby kompletną zastawa stołowa, gdyby przy nakryciu brakowało kwiatów. One ożywiają stół, podnoszą nastrój zebrania, wnosząc wesołe akcenty. Ich dobór i ilość nie są obojętną sprawą w estetyce zastawy. Pierwszą zasadą ich zastosowania niechaj będzie przedewszystkiem wysoki umiar. Lepiej mniej kwiatów, niżeli za wie-

... lepiej dać tylko jeden gatunek, niżeli niepożądaną pstrokaciznę.

Przypinanie zielonych gałązek do obrusa lub zielonych girlandek, przetykanych kwiatami, wyszło z mody i całkiem słusznie. Kwiaty takie bowiem więdną bardzo szybko i już przy końcu przyjęcia wyglądają „płaczliwie". Tu ułatwiają nam zadanie minjaturowe flakoniki kryształowe, w których każda gałązeczka czy drobny kwiatuszek nabierają rumieńców życia, ciesząc oko swą urodą. Im ciekawiej są dobrane te malutkie naczyńka na kwiaty, tem głębiej wychodzi tło stołu, na którem dopiero dominującą rolę dekoracyjną obejmie parę płytkich waz czy flakonów z kwiatami. — Należy przestrzegać zasady, aby kwiaty nie zasłaniały sąsiadów z vis à vis.

Wspólnie z kwiatami spełniają dekorację stołu obok świeczników także i patery z owocami, które zależnie od pory roku, dobierać można coraz inaczej, wedle indywidualnych upodobań. Owoce kontrastują barwami z zielenią i kolorytem kwiatów. Nie wolno zatem bezmyślnie postawić ich obok siebie, lecz do sezonowych owoców raczej dobierać kwiaty, których w każdej porze roku jest kilka conajmniej kwitnących odmian.



„Causeur" na przyjęciu...

skrawemi daljami najrozmaitszych kolorów, biała lilja z różowem złotem moreli, lub czerwienią malin, poziomek czy truskawek. Ile kwiatów i owoców, tyle możliwości.

Kiedy włączymy do dekoracji stołu także i barwność jarzyn, służących do ubierania półmisków, dojdziemy do przekonania, że nietylko one, ale także i potrawy same jako takie, poddają nam mnóstwo kolorów do estetycznego ich kombinowania na stole.

Dopiero, gdy te wszystkie zasady zostaną uwzględnione przy zastawianiu stołu, może gospodyni spodziewać się, że stworzy atmosferę, jaką pragnie otoczyć swych gości, aby mogli czuć się jak najsympatyczniej. Wysokie walory estetyczne zastawionego



Poniżej: Zastawa do bowli z zielonego prasowanego szkła z czarnemi podstawkami.
Fot. Mundi.



Powyżej: Serwis do kawy z kutego metalu (proj. Julji Keilowej).
Fot. Dorys — Warszawa.



Gustownie zastawiony stolik z serwisem do oranżady lub innych orzeźwiających napojów czyni z werandy okolicznościowy pokój jadalny.



Powyżej: Gustowny serwis do śniadania o rokokowych linjach, harmonizujący jednak z nowoczesnemi sprzętami wnętrza.
Fot. Mundi.

Wczesną wiosną cudownie kontrastują ze sobą złocisty oranż pomarańcz z głębokim fioletem skromnych fiołków, lub pastelowe odcienie kwitnących hiacyntów z plasterkami kandyzowanego ananasa. Zimą ciemna zieleń gałązek szpilkowych odbije pięknie od krwawej czerwieni bożo-narodzeniowej „Rose de Noël". Delikatne kolory brzoskwiń oscylujące pomiędzy zielenią i różowo-żółtemi odcieniami, kontrastują ponętnie z ja-



„Gość honorowy"... na którego nikt nie zwraca uwagi! („Esquire").

stołu, stworzą odrazu pogodny nastrój, nawiążą nić sympatji pomiędzy sąsiadami stołu, stworzą tematy rozmowy, zwłaszcza pomiędzy pierwszy raz się spotykającemi osobami.

A oto dwa już zgóry każda pani domu, urządzająca przyjęcie dla bliższych czy dalszych znajomych.

Mewa.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK Z PORZECZEK. 30 dkg porzeczek obiera się z szypułek i przeciera przez sito. Pozostałe skórki i pestki rozbiera się pół litrem wody i przeciera ponownie soku z pierwszego przetarcia. 15 dkg cukru zagotowuje się z 1/4 litra wody, dodaje sok porzeczkowy, kawałek skórki cytrynowej i cynamon, zagotowuje szybko i ostudza. Chłodnik podaje się zastudzony na lodzie w filiżankach. Osobno słodkie grzaneczki lub makaroniki.

KALAFJOR Z GRZYBKAMI. Ładny biały kalafjor oczyszczony i wymoczony w zakwaszonej octem wodzie, celem wypędzenia ewentualnych muszek i t. p. parzy się wrzątkiem, celem wybielenia go, następnie gotuje, włożony do gorącej wody z szczyptą soli i cukru. Osobno dusi się na maśle trochę świeżych grzybków. Grzybki należy wymyć szczoteczką, następnie drobno pokrajać i nie płukać więcej, gdyż tracą w wodzie aromat. W ryneczce rozpuszcza się troszkę masła, wkłada grzybki i wrzuca drobno usiekaną młodą cebulkę, podlewa jedną łyżką wody i dusi grzybki na słabym ogniu. W trakcie gotowania grzybki wydzielają dużo soku, należy tedy jaknajmniej wody dolewać, pilnować tylko, aby się nie przypaliły i często je mieszać. Uduszone, tj. miękkie już grzybki zagęszcza się zasmażką z łyżki masła i mąki, zagotowuje i wykłada na półmisek. Ugotowany kalafjor dzieli się na pojedyncze różyczki, które się w grzybkach stojąco rozdziela. Dookoła układa się młode ziemniaczki. Potrawa jest smaczna, wygląda bardzo apetycznie i nadaje się na kolację lub jarskie danie do obiadu.

KISIEL Z PORZECZEK I MALIN. 25 dkg malin i tyleż porzeczek obranych z szypułek zalewa się pół litrem wody, rozgotowuje i wyciska. Pozostałą miazgę daje się ponownie do garnka, dodaje szklankę wody, zagotowuje i wyciska do poprzedniego. Soku powinno w ten sposób powstać około 3/4 litra. W troszce ostudzonego soku, rozkłuca się 30 g mąki ziemniaczanej. Resztę soku słodzi się wedle upodobania (zwykle wystarcza 10 dkg cukru), zagotowuje, odstawia, miesza z podbitką, przystawia znów do ognia i zagotowuje wśród ciągłego mieszania, poczem wylewa się zgęstniałą masę do kamiennej lub porcelanowej (nigdy metalowej) formy i natychmiast posypuje z wierzchu cukrem, aby się nie utworzyła niemiła skórka. Ten sam sposób gotowania kisielu stosować można do każdego rodzaju jagód i owoców. Kisiel wyrzuca się po zastudzeniu z formy i kraje w skośne kawałki. Osobno podaje się słodzoną surową śmietankę lub pełne słodkie mleko.

ZIMNA LEGUMINA Z GRYSIKU. Pół litra wody i 15 dkg cukru zagotowuje się, odsuwa z ognia i wsypuje wśród mieszania 6 dkg najcieńszego grysiku. Nastawiony powtórnie na ogień, gotuje się przez 5 minut, przyczem nie należy zaprzestać mieszania, aby masa wypadła zupełnie gładko. Po ugotowaniu wykłada się grysik na miskę, wciska sok z połówki dużej cytryny i uciera łyżką przez około 30 minut, tj. tak długo, aż masa stanie się zupełnie biała i sztywna. Tak przygotowaną masę dzieli się na trzy części, jedną pozostawia się białą, drugą zabarwia się sokiem różanym lub innym na różowo, do trzeciej dodaje się trochę rozmiękczonej czekolady lub mocnej kawy. Ułożoną kolorami na szklanym talerzu leguminę zastudza się na lodzie; podać można do niej wafle jak do lodów, które smakiem przypomina.

PRZEPISY NA CZASIE.

WIŚNIAK. Drobne, ciemne kwaśne wiśnie opłukane i obrane z ogonków osącza się na sicie i przesypuje w gąsiorze cukrem, biorąc 75 dkg cukru na 1 kg owocu. Gąsior owiązany muślinem stawia się w słonecznem miejscu i pozostawia tam 2—3 miesięcy. Wkońcu zlewa się sok z wiśni do **czystych flaszek**, korkuje, zalewa pechem i wstawia do piwnicy. Na pozostałe wiśnie, z których garstkę należy rozmiażdżyć wraz z pestkami, nalewa się spirytusem „do przykrycia", zatyka flaszkę korkiem i odstawia na kilka tygodni do spiżarki lub kredensu. Nalewka taka używana być może bez cukru jako mocna wódka, lub też likier z dodatkiem syropu cukrowego **w ilości dowolnej.** Cukier należy gotować przez 15 minut **bezustannie** i w trakcie gotowania pilnie zbierać z niego piany. Porcja cukru na syrop wynosi: 3/4 litra wody 35 dkg cukru. Po wygotowaniu pozostaje troszkę więcej niż pół litra gotowego syropu.

KONSERWA OWOCOWA ŁATWYM SPOSOBEM. Proporcje: 5 kg owocu — 3 kg cukru. Z cukru i wody gotuje się syrop. Liczy się zwykle na 1 kg cukru pół litra wody. Syrop oczyszcza się podczas gotowania z pian i nieczystości, następnie na gotujący rzuca się po trosze oczyszczony i z wody osączony owoc. Jak tylko owoc przejdzie warem, wyjmuje się go do dużego słoja, następnie rzuca się nową partję owocu i tak ciągle aż wszystko się wyczerpie. Potem gotuje się syrop jeszcze przez pół godziny, aby zgęstniał, dodaje łyżeczkę salicylu i zlewa na owoce do słoja. Owiązać można zaraz. NB. owoce na konserwy powinny być nienagannie zdrowe. Tylko takie są pewne, że nie sfermentują. **Sc. Ko.**

PRAKTYCZNE DROBIAZGI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



W każdym nieomal domu znajduje się koszyk na papiery, który po większej części grzeszy szablonem i psuje wygląd gabinetu. Obok zreprodukowane zdjęcie ukazuje nam, jak tanim kosztem możemy zrobić estetyczny koszyk na papiery: z tektury skleja się rurę odpowiedniej wielkości, dno stanowi krążek, wycięty z słomki ze starego kapelusza, a nazewnątrz nakłada się deseń kolorowej rafji. W tym celu przygotowuje się paski kartonu o obwodzie kosza i owija je z kolorowym łyczkiem, obmyślając różne wzory, jak np. widoczny na zdjęciu. Koszyk taki jest zarówno estetyczny jak i trwały.

Fot. J. O. Schneider — Warszawa

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 31 — **Lipiec** — 31 dni



NIEDZIELA 24 Krystyny
Chłodnik malinowy. Móżdżek na muszelkach. Kaczka pieczona z buraczkami. Biszkopt z pianką owocową.
Kolacja: Szynka cielęca z sałatką majonezową.

PONIEDZ. 25 Jakuba ap.
Zupa koprowa z ryżem. Włoska kapusta w cieście smażona. Zrazy naturalne z marchewką i groszkiem. Kruchy placek z agrestem.
Kolacja: Ozorki cielęce w ostrym sosie.

WTOREK 26 Anny matki NPM
Rosół z kaszką krajaną. Fasolka szparagowa z rumianem masłem. Mostek cielęcy nadziewany z ryżem. Kompot mieszany.
Kolacja: Buletki z mięsa rosołowego.

ŚRODA 27 Natalii
Borówczanka z grzankami. Kalafior z grzybkami. Befsztyki w garniturze z jarzyn. Strudel z wiśniami.
Kolacja: Ziemniaczki z zsiadłem mlekiem.

CZWARTEK 28 Innocentego
Zupa z zielonego groszku z lanem ciastem. Kapusta faszerowana. Kurczę w potrawce z kluseczkami. Mądrzyki z śmietaną.
Kolacja: Omlety z grzybkami.

PIĄTEK 29 Marty, Flory
Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Budyń jarzynowy z sosem grzybowym. Pstrągi na niebiesko z masłem. Placek drożdżowy z owocami.
Kolacja: Kanapki jarskie.



SOBOTA 30 Abdona i Seny
Zupa na podróbkach. Rizotto z groszkiem. Rozbratel napoleoński z kapustą duszoną. Sałatka owocowa.
Kolacja: Pierożki z jagodami.

HOCKI-KLOCKI

ZAWODOWY PUNKT WIDZENIA.



Profesor do młodego chirurga: — Musi pan ją uważać jedynie za maszynę, którą należy zreparować!

„Esquire".

NAJLEPSZE WYJŚCIE.



Ona: — Zapewniam cię, najdroższy, że gdy mnie wyślesz nad morze, będę ciągle o tobie myślała!
On: — Wolałbym gdybyś tu została a dużo myślała o morzu...

„Il 420" Florencja.

ZŁUDZENIE.



— Gdy zamknę oczy, panie Mayer, zdaje mi się, że mię całuje Clark Gable!

„Esquire".

STYL TELEGRAFICZNY.



— Dzień dobry! Hotel „Plaza" 96300!

„Esquire".

Rozwiązania Nru z 29-go.

KWIECIEŃ I MAJ.

Kwiecień ma 13 dzieci: 5 chłopców i 8 dziewczynek. Każdy chłopiec ma 40 zł do wydania i wszyscy wydali je w różnych kioskach, tak, jak to wskazuje poniższa tabelka.

Ceny artykułów w złotych

Chłopcy	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
A	x	x	x	x	x	x	x					x
B	x	x	x	x	x	x		x			x	
C	x	x	x	x	x	x				x	x	
D	x	x	x	x	x		x	x	x			
E	x	x	x	x		x	x	x	x			

TRZY LICZBY.

1+2+3=6, 1×2×3=6.

OBRONA FORTECY.

Dowódca wzmacniał po każdym dniu załogę w basztach narożnich, broniących dwu stron. W pierwszym dniu znajdowało się w forcie 180 żołnierzy, w drugim w basztach narożnich po 35, a w trzecim musiało być w 3-ciej baszcie 50-ciu obrońców, a w 1, 2, 4 i 5 po 25.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

IMIENINY ALI.

Ala zaprosiła dziewięć dziewczynek na swe imieniny. Do podwieczorku zatem zasiadło dziesięć osób, przy okrągłym stole. „Swoje miejsce oznaczyłam O" — oznajmiła Ala — „a inne miejsca ponumerowałam cyframi od 1 do 9 (ale nie pokolei). Swych gości tak pousadzałam, że lata każdej dziewczynki wyznaczała suma cyfr, oznaczających miejsca na prawo i na lewo od niej. To samo dotyczyło i moich lat. Moje lata i dziewczynki siedzącej naprzeciw mnie wynosiły razem 25. Lata dziewczynki siedzącej koło mnie na lewo i tej, która siedziała naprzeciwko niej, dawały w sumie 13, a dziewczynki siedzącej ode mnie o dwa miejsca na lewo i jej vis-a-vis — 19. Natomiast suma lat dziewczynki siedzącej o trzy miejsca na lewo ode mnie i dziewczynki siedzącej naprzciwko niej, wynosiła 23. Dziewczynka siedzące o trzy miejsca na lewo ode mnie jest starsza niż ja o 4 lata. Lola, jedna z bliźniaczek, siedziała tuż koło mnie na prawo, a jej siostra Paulinka, naprzeciwko niej. Imiona innych mych przyjaciółek (w/g starszeństwa) są: Basia (najstarsza), Ewa, Janka, Rózia, Mania, Iza i Roma"

Zaczynając od Ali należy wyznaczyć w kierunku wskazówki zegara miejsca dziewięciu dziewczynek przy okrągłym stole.

PRZY TELEFONIE.

„Czy to ty Zosiu?" — zapytała Mania przez telefon, myśląc, że rozmawia z jedną ze swych przyjaciółek.

„Nie" — odrzekł gruby, męski głos.

Mania zapomniała numeru telefonu swej przyjaciółki, jednak pamiętała, że składa się on z czterech cyfr, z których jedna jest 4, a druga 8. Pamięta również, że trzy ostatnie cyfry są większe od pierwszej, wobec ozego postanowia zadzwonić na chybił trafił.

Jakoie Mania ma szanse natrafienia na właściwy numer telefonu?

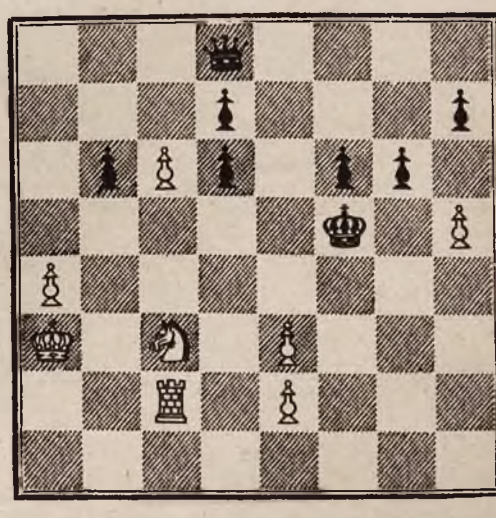
KROWA, KOZIOŁ I GĘŚ.

Gospodarz spostrzegł, że krowa i kozioł zjadają całą trawę z pewnej łąki w ciągu 45 dni; krowa i gęś w ciągu 60 dni, a kozioł i gęś w 90 dni. Jeżeli gospodarz puści na pole krowę, kozła i gęś, w ile dni zjedzą one trawę?

Izaak Newton pokazał sposób rozwiązywania zadań tego typu; jednak ze wzgdędu na większą prostotę przyjmiemy, że była to taka pora roku i takie warunki, że trawa wcale nie rosła.

ZADANIE SZACHOWE.

Henri Rinck — Barcelona.



Białe zaczynają i wygrywają.

Białe: Ka3, Wc2, Sc3, piony a4, c6, e2, e3, e5.

Czarne: Kf5, Hd8, piony: b6, d6, d7, f6, g6, h7, (8 + 8 = 16).

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

„Azjaci“ Frederic Prokosch (Renaissance) Azja jest zawsze terenem, kuszącym podróżnika, pragnącego doznać niezwykłych wrażeń, zobaczyć różnorodne typy kultur i narodów... Cóż dopiero mówić, gdy ktoś próbuje przemierzyć obszary azjatyckie samotrzeć, nie mając przed sobą zbyt skrystalizowanego celu wędrówki.

Prokosch rozpoczyna swą opowieść od Turcji, gdzie bohater „Azjatów“ dostaje się do więzienia, poczem uwolniwszy się z niewoli ucieka wraz z młodym komunistą do Sowietów, ale nie zagrzewa tu długo miejsca, bowiem dowiaduje się, że jego towarzysz zamierza go wydać władzom, jako podejrzanego politycznie.

Dalsze rozdziały poświęcone są wędrówce przez Persję i Afganistan do Indyj. W Persji niewiele brakowało, by nasz podróżnik przeniósł się na łono wieczności za sprawą Ahmeda, przewodnika-woźnicy. Wkrótce potem ów Ahmed wyda swego „klienta“ w ręce zbirów... Jeśli do przygód bohatera „Azjatów“ dodamy jeszcze przeżytą przez niego katastrofę samolotową — będziemy mieli w ogólnym zarysie obraz wcale „urozmaiconych“ przeżyć azjatyckiego podróżnika.

„W słońcu Indyj“. E. M. Foster. (Rój). Pisarz angielski przedstawia w swej powieści stosunki w Indjach, przytem bynajmniej nie oszczędza Anglików: uwypukla antagonizm między przedstawicielami Wielkiej Brytanji a miejscową ludnością. Autor umieszcza opowieść na tle Grot Malabarskich, nadając jej charakter lokalny: nie stara się generalizować, ani wygłaszać teoryj wydarzenia, które podkreślają trudności, jakie napotykają Anglicy, pragnący zbliżenia z Hindusami.

Osią utworu jest przygoda w jednej z grot młodej Angielki, która wybrała się tam z kulturalnym lekarzem hinduskim, Azizem. Wypadek panny Quested wywołuje lawinę konfliktów: Azis zostaje oskarżony o napaść na nią. Sprawa opiera się wreszcie o sąd, powodując ogólne wzburzenie: zarówno Anglików przeciw Hindusom, jak i tubylców przeciw sferze rządzącej...

Jeden tylko przedstawiciel Anglji, nauczyciel Fielding nie wierzy w winę Azisa. Wkońcu sama panna Quested cofa oskarżenie...

Autor daje szczegółowe opisy środowiska i mieszkańców, przez co otwiera zajmujące perspektywy obyczajowe, choć wyczuwa się u niego tendencyjny dobór faktów, mających służyć tezie.

Roger Martin du Gard „Dzień przyjęć dr Thibault i Sorellina.“ (Rój). Ciąg dalszy cyklu powieściowego zeszłorocznego laureata Nobla przynosi najpierw obrazy z życia dr Antoniego Thibault, a potem także jego brata, Jakóba.

Rozdziały, poświęcone praktyce lekarskiej Antoniego mają niejednokrotnie dramatyczną wymowę. Np. mówiąc o cierpieniu dziecka państwa Hequet, autor zdobywa się na wstrząsające akcenty. Również chorobę ojca — ongiś ruchliwego, pewnego siebie pana Thibault a dziś zniedołężniałego, powalonego nieuleczalną słabością — przedstawia autor w niezwykle dramatycznych scenach, obfitujących w gwałtowne przeskoki uczuciowe i sytuacyjne.

W drugiej części powieści dowiadujemy się o losach Jakóba, którego rodzina uważa za zmarłego przed kilku laty. Ten chłopak o trudnym, kanciastym charakterze, porzucił dom rodzinny i studja, aby oddać się swej namiętności: sztuce pisarskiej, aby budować wszystko od podstaw. Przeszedł ciężkie koleje, aż osiadł w Szwajcarji, poświęcając się pracy literackiej i dziennikarskiej.

Ta część cyklu francuskiego laureata kończy się w przededniu wielkiej wojny: Antoni zdoławszy odszukać zaginionego brata — wobec zbliżającej się śmierci ojca sprowadza Jakóba do Paryża. Tomy następne wkroczą już w okres wojenny: „Śmierć ojca“ i „Lato 1914“. **J. J.**

NA SCENIE.

WARSZAWA. Na scenie Teatru Letniego wystąpił gościnnie artysta krakowski, Kazimierz Szubert, prezentując się, jako reżyser i aktor w farsie M. Hennequina **„On i jego sobowtór“**, która grana była w Krakowie w okresie karnawałowym. Jak wiadomo Szubert jest także adaptorem utworu francuskiego autora na język polski.

Sztuka odniosła sukces. Krytyka podkreśla żywe tempo akcji i doskonałą rolę Szuberta. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. J. Śliwińskiego, Z. Karczewskiego, J. Bukojemską, S. Kwaskowskiego, Jaronia, Tatarkiewicz-Woskowską, Martini, W. Jakubińską i E. Magiarówną. Dekoracje — St. Jarockiego.

KRAKÓW. Na zamknięcie sezonu (przed gościnnemi występami teatru Jaracza) teatr im. Słowackiego wprowadził na scenę drugą w tym sezonie sztukę Molnàra pt. **„Nowa Dalila“**, która niedawno była grana w Teatrze Małym w Warszawie.

W roli pani Wirag ujrzeliśmy doskonałą p. Janinę Wernicz, jej pysznym, „brykającym“ małżonkiem był p. Włodzimierz Macherski. Kelnerką Ilonką — p. Hanna Bielska, narzeczonym Berenyim — p. Apolinary Possart, wybornym piwiarzem p. Kazimierz Fabisiak. Resztę zespołu dopełnili pp. Kazimierz Opaliński, Władysław Woźnik i Wacław Kolwas. Dekoracje projektował p. Karol Gajewski.

W Teatrze im. Słowackiego rozpoczął gościnne występy zespół warszawskiego Ateneum z Jaraczem na czele, prezentując na pierwszy ogień komedję amerykańskich autorów M. Harta i G. S. Kaufmanna pt.: **„Cieszmy się życiem!“** w świetnem wykonaniu Jaracza, Perzanowskiej, Bonackiej, Kryńskiej, Zahorskiej, Chmielewskiego, Łuszczewskiego i in.

Drugą sztuką, nieznaną w Krakowie, był utwór Alfreda Gheri pt. **„Szóste piętro“** w wykonaniu tego samego zespołu. **J. J.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 24 lipca.

12.03 Poranek muzyczny z Wilna.
17.10 Recital fortepianowy — Izy Ostoja.
17.40 Tygodnik dźwiękowy.
21.30 Transmisja fragm. I meczu pływackiego Polska — Finlandja.
22.10 „Dina“ — wodewil na motywach komedjo-opery.

Poniedziałek, 25 lipca.

18.10 Lekkie utwory organowe — w wyk. Reginada Foorte (płyty).
19.30 „Uśmiech Albionu“ — koncert rozrywkowy z Łodzi.
21.10 Koncert w wykonaniu zespołu jugosłowiańskiego instrumentów ludowych — „Tamburina“.
22.00 Transmisja koncertu z Kopenhagi.

Wtorek, 26 lipca.

18.10 Koncert kameralny z Krzemieńca.
19.35 „Gulasz z papryką“ — koncert.
21.10 Walce w wykonaniu Janiny Szymulskiej.
22.00 Muzyka operowa.

Środa, 27 lipca.

16.00 Koncert orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
18.10 Arje operowe w wykonaniu Stefana Romanowskiego
19.00 Recital wiolonczelowy Bronisława Nagujewskiego.
21.10 „Szopen a Polska Ziemia“, V-ta audycja.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki“ — VII-ma audycja.

Czwartek, 28 lipca.

16.00 Muzyka salonowa w wykonaniu kwartetu Rozgłośni Krakowskiej.
18.10 Wiązanka śląskich pieśni ludowych.
18.30 „Trwoga w San Antonio“ — premjera słuchowiska.
19.10 Koncert Laureatów Konserwatorjum Warszawskiego.
21.00 Recital śpiewaczy — Lucyny Szczepańskiej.
22.00 Koncert wieczorny w wykonaniu orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.

Piątek, 29 lipca.

16.00 Wiązanki z operetek Lehara.
18.10 Koncert na instrumentach dętych.
19.00 Polskie utwory fortepianowe.
19.30 „Podróż w nieznane“ — koncert rozrywkowy.
21.10 „Laura i Filon“ — wieczór dawnych piosenek.
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela — V-ta audycja.

Sobota, 30 lipca.

16.00 Koncert orkiestry pułku strzelców podhalańskich.
17.00 Polska kapela ludowa — F. Dzierżanowskiego.
18.10 Recital śpiewaczy — Rudolfa Joksa.
19.00 Recital skrzypcowy Wacława Kochańskiego.
22.00 „Godzina niespodzianek“.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.